



Pamiętajcie o ogrodach!
Konkurs Panoramy
str. 36-39

Ponadto w numerze:

- Dobre praktyki z UE
- Czytanie jest sexi
- Z kart lubelskiego przemysłu lotniczego



Drodzy Czytelnicy

Oddajemy w Wasze ręce kolejny numer *Panoramy Lubelskiej*. Zapraszając do lektury tematycznych artykułów, w których między innymi relacjonujemy nasze wrażenia z wielkiego Święta Kobiet Aktywnych w Józefowie nad Wisłą, przyłączamy się do akcji promowania dobrych praktyk i rozpoczynamy cykl prezentowania beneficjentów samorządowych i biznesowych w absorpcji środków unijnych. W tym numerze przedstawiamy jedną z największych grup producentów owoców i warzyw – Spółkę FruVitaLand oraz jedną z najdynamiczniej rozwijających się gmin – Gminę Opole Lubelskie.

W wakacyjnym wydaniu *Panoramy* zapraszamy do wzięcia udziału w „ogrodowym” konkursie! Nasza redakcja nagrodzi właściciela lub właścicielkę najpiękniejszego ogrodu, niebanalnie zagospodarowanej działki lub balkonu. Z niecierpliwością czekamy na zdjęcia! W tym numerze piszemy także o zawitych meandrach historii sprzed 70 lat, mieszkańców gminy Serniki, oraz historii lubelskiego przemysłu lotniczego.

Ponadto apelujemy: czytajcie książki!!! Redakcja *Panoramy Lubelskiej* wspiera ogólnopolską akcję promocji czytelnictwa. Jeśli nie czytacie na wakacjach, w trakcie urlopu – to kiedy? Trzeba przelamać wewnętrzne opory i na wskroś pokusom życia wakacyjnego – czytajcie! Czytanie jest sexi! Tak jak kuchnia robiona w domu, samodzielnie, dla bliskich lub we dwoje... Zawsze smakuje lepiej.

Na koniec wakacji w Lublinie wielka i smakowita, jeśli rzecz tak można, impreza – Europejski Festiwal Smaku. Wybierzcie się tam koniecznie! Dobra kuchnia to jeden z naszych lubelskich skarbów. Smakujcie Lubelskie od każdej strony, samotnie, we dwoje, z rodziną i przyjaciółmi... Naprawdę warto!

Grzegorz Teresiński

Redaktor Naczelny

SPIS TREŚCI

Czy będzie autostrada wodna: Bałtyk – Morze Czarne?	3
Opole Lubelskie prezentuje nową markę	4-5
Dokąd jedzie PKS?	6-7
Grupy producenckie – wykorzystana szansa!	8-9
Migrująca opieka	10-11
Święto Kobiet Aktywnych – Józefów nad Wisłą	12-13
Nowinki na niwach	14-15
Lubelskie czaruje smakiem	16-17
Po co nam książki?	18-19
Lato nad Jeziołem Białym	20-21
Zaproszenie: Świat na głowie w Sulejowie	22
Marzenia spełnione i niespełnione - rozmowa z Marianem i Krystyną Josiczami	23-25
Nasze miejsce na mapie Lublina	26
Super alga – biopaliwo trzeciej generacji	27-30
Szczęśliwa trzynastka	31-33
Dzieci nazisty z Sernik przepraszają za winy ojca	34-35
Letni Salon od kulis	36-37
Z poradnika Ogrodnika: Róże – symbole piękna i miłości	38-39

Panorama Lubelska

Magazyn Regionalny:

PANORAMA LUBELSKA

red. naczelny:

Grzegorz Teresiński

e-mail:

redakcja@panoramalubelska.pl

redakcja internetowa/portal:

www.panoramalubelska.pl

facebook/panorama lubelska

tel: 81 446 70 17

Wydawca:

Towarzystwo Mediów Lokalnych

Biuro Reklamy:

Telewizja Niezależna sp. z o.o.

20-005 Lublin, ul. Górna 4/5

Okladka: Konkurs „Panoramy Lubelskiej” na najpiękniejszy ogród

Fotografia: Grażyna Hryniewska

Nakład:

do 10 000 egz.

ISSN 1425-7378

INDEX 333393X

PKWU 22.13 10.00.22

PRASA REGIONALNA

I SPECJALISTYCZNA

Layout:

Tomasz Ozga

Czy będzie autostrada wodna łącząca Bałtyk z Morzem Czarnym?

29 lipca odbyła się w Sejmie RP konferencja poświęcona odtworzeniu szlaku wodnego E-40. W spotkaniu uczestniczyli przedstawiciele ministerstw właściwych ds. ochrony środowiska, a także infrastruktury i transportu z trzech państw: Polski, Białorusi i Ukrainy. E-40 to międzynarodowa droga wodna, która łączy Bałtyk z Morzem Czarnym.

Lipcową debatę to jeden z efektów pracy Komisji Stałej do spraw drogi wodnej E-40, która działa w ramach Programu Współpracy Transgranicznej Polska – Białoruś – Ukraina na lata 2007-2013. Celem konferencji było przedstawienie stronie rządowej Studium Wykonalności Projektu, obejmującego analizę rynkową, ekonomikę transportu, ocenę społeczną, środowiskową, a także wpływ na gospodarkę. Studium przygotowuje międzynarodowe konsorcjum pod przewodnictwem Instytutu Morskiego w Gdańsku.

Projekt rewitalizacji już w październiku ubiegłego roku uzyskał wsparcie pięciu województw: lubelskiego, mazowieckiego, pomorskiego, kujawsko-pomorskiego i warmińsko-mazurskiego, wyrażone w „Liście intencyjnym w sprawie woli współpracy przy aktywizacji gospodarczej obszarów nadwodnych, gospodarczego wykorzystania rzek i Zalewu Wiślanego oraz reaktywowania potencjalnej Międzynarodowej Drogi Wodnej E-40”. Województwo lubelskie jest partnerem koordynującym projekt po stronie polskiej.

Szlak wodny E-40, który powstał pod koniec XVIII wieku, to bardzo ważny kanał transportu w tej części Europy, ale nie żeglowność jest tu priorytetem, a woda lub jej brak w przeszłości i jednocześnie bezpieczeństwo przeciwpowodziowe i przeciwsuszowe. – Nasza inicjatywa wychodzi oddolnie od organizacji pozarządowych, samorządów, uczelni i ma na celu przekonanie decydentów na poziomie rządowym, że ten projekt przyniesie ogromne korzyści całej południowo-wschodniej Polsce – mówi Bożena Li-

sowska, radna Sejmiku Województwa Lubelskiego, przedstawicielka Komisji ds. Rozwoju Szlaku Wodnego E-40 i inicjatorka konferencji. – *Wsparcie rządu jest niezbędne, gdyż drogi wodne są własnością państwa. To na poziomie rządowym muszą zapaść decyzje, a Unia Europejska z pewnością – jeżeli będzie widziała dobrą wolę naszego państwa – wesprze te działania. Na obecnym etapie przyszłość szlaku będzie zależała od rezultatów analiz technicznych studium wykonalności, a te będą znane pod koniec 2015 roku. Wówczas dokument ten zostanie poddany konsultacjom społecznym oraz ocenie Komisji ds. Rozwoju Szlaku Wodnego E-40 i od dobrej woli rządu będzie zależać, czy odtworzenie międzynarodowej drogi wodnej będzie możliwe.*

Co do korzyści, jakie budowa szlaku mogłaby przynieść naszej części Polski, zgodne są wszystkie siły polityczne w naszym regionie. Od początku orędownikiem budowy E-40 jest europoseł Mirosław Piotrowski, który wątpi jednak we wspomnianą dobrą wolę rządu. – *Wykorzystując Wisłę, Bug, Prypeć i Dniepr, łącząc te rzeki siecią kanałów, uruchamiając porty przeładunkowe, turystyczne przystanie, zapewnia się rozwój terenów pogranicza, poprzez utworzenie nowych miejsc pracy – tłumaczy. – Nie dziwi więc, że samorządowcy w tej sprawie mówią na ogół jednym głosem. Tymczasem na szczeblu centralnym wciąż coś stoi na przeszkodzie. Brakuje osoby, która podjęłaby strategiczną dla naszego państwa decyzję o rewitalizacji Wisły, rozpoczynając od wpisania E-40 do strategii rozwoju*

transportu w Polsce i podjęcia decyzji o przystąpieniu Polski do konwencji AGN (podpisane 19 stycznia 1996 roku w Genewie porozumienie dotyczące głównych śródlądowych szlaków wodnych o znaczeniu międzynarodowym – red.). Jesteśmy jednym z nielicznych krajów, które umowy AGN nie przyjęły, choć członkami konwencji są już m.in. Ukraina i Białoruś – przypomina prof. Piotrowski.

Spotkanie w Sejmie zainaugurowało wystąpienie wiceminister środowiska Doroty Niedzieli, która podkreśliła, że żegluga śródlądowa to jedna z najbardziej przyjaznych środowisku gałęzi transportu, z najmniejszą emisją spalin do środowiska i niskim natężeniem hałasu, jednocześnie konkurencyjna pod względem kosztów i bezpieczeństwa.

Ministerstwo Infrastruktury i Rozwoju reprezentowała wiceminister do spraw gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej Dorota Pyć, która zaznaczyła, że dalszy międzynarodowy dialog na poziomie rządowym będzie oparty na wnioskach końcowych wynikających ze Studium Wykonalności. Kontynuowanie międzynarodowego dialogu w sprawie odtworzenia tego szlaku to kwestia ważna dla rozwoju trzech krajów: Polski, Białorusi i Ukrainy.

Radna Bożena Lisowska zaprosiła do współpracy przy organizacji konferencji Związek Pracodawców Lubelszczyzny Lewiatan i Instytut Morski w Gdańsku. Honorowy patronat nad debatą objęli przewodniczący: Sejmowej Komisji Infrastruktury Stanisław Żmijan i Sejmowej Komisji Ochrony Środowiska Stanisław Żelichowski.

red; fot.: Biuro Pośła do PE prof. Mirosława Piotrowskiego



Opole Lubelskie prezentuje nową markę



W ostatnich miesiącach nastąpiła znaczna intensyfikacja działań realizowanych w ramach projektu „Nowa marka – silny region – kompleksowa budowa marki regionu Opola Lubelskiego”.

Realizacja projektu rozpoczęła się na początku 2014 roku. W początkowej fazie powstały dwa najważniejsze dokumenty: „Strategia rozwoju marki Gminy Opole Lubelskie” oraz księga znaku wraz z nowym logotypem i hasłem promocyjnym Opola Lubelskiego. Rada Miejska przyjęła je uchwałą podczas sesji 19 marca 2015 roku.

Autorką strategii jest Agnieszka Smreczyńska-Gąbka – specjalistka do spraw planowania strategicznego i sporządzania strategii rozwoju i działań marketingowych dla firm, instytucji publicznych i otoczenia biznesu oraz jednostek samorządu terytorialnego. W przeszłości pełniła m.in. funkcje doradcy zarządu ds. strategii i rozwoju w Mostostalu Puławy S.A., specjalisty ds. marketingu na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i prezesa zarządu Motoru Lublin S.A.

– Opole Lubelskie w latach 2007-2014 dokonało ogromnego wysiłku modernizacyjnego. Poprawiono infrastrukturę praktycznie we wszystkich sferach funkcjonowania miasta i gminy. Opole Lubelskie nie chce się jednak zatrzymać w rozwoju i udoskonalaniu warunków życia swoich mieszkańców. Wyrazem tej troski samorządu lokalnego było



m.in. podjęcie wyzwania budowy marki gminy. Zadaniem marketingu terytorialnego i marki miejsca jest uporządkowanie skojarzeń związanych z Opolem Lubelskim, a także nadbudowanie na nich atrakcyjnego tematu – unikalnej cechy marki – głównego komunikatu promocyjnego – mówi Agnieszka Smreczyńska-Gąbka – Strategia Rozwoju Marki Gminy Opole Lubelskie definiuje marki i jest fundamentem do budowy wielu działań projektowych. Konsekwentne wdrażanie marki poprzez budowę wyspecjalizowanych produktów promocyjnych, system identyfikacji wizualnej – sprawi, że Opole Lubelskie będzie mogło swobodnie myśleć o rozwoju swojej marki w przyszłości.

Równoległe do strategii gmina zleciła zaprojektowanie nowego logotypu wraz hasłem promocyjnym i księgą znaku, czyli dokumentem zawierającym zbiór zasad korzystania i używania nowego znaku. Za projekt graficzny nowego logotypu odpowiedzialna jest Magdalena Ostapiuk, absolwentka Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu na kierunku grafika, specjalność: projektowanie graficzne.

Nowe logo składa się z trzech elementów: charakterystycznego znacznika z map internetowych oraz wpisanego w niego owocu i hasła – esencji strategii marketingowej „Owocne inwestycje”. Znacznik symbolizuje cel – wyznacza i identyfikuje miejsce – region Opola Lubelskiego. Z kolei owoc jest symbolem bogac-



twą i urodzaju, obietnicą korzystnej lokalizacji dla potencjalnych inwestorów. Określa także sadownictwo i przetwórstwo jako podstawę lokalnej gospodarki.

Następnie rozpoczęto fazę realizacji działań promocyjnych. Przy drogach wjazdowych ustawionych zostało 6 „witaczy”, specjalnie zaprojektowanych wg wytycznych z książki znaku. Są efektowne, estetyczne i zawierają nowy logotyp wraz z hasłem reklamowym. „Witacze” stoją w Opolu przy ul. Lubelskiej i Południowej, a także w Niezdowie, Kazimierzowie i Komaszycach Starych.

Gotowy jest także film promocyjny, który można zobaczyć w serwisie You Tube na oficjalnym profilu gminy Opole Lubelskie. Film można oglądać w wersji polskiej oraz z angielskimi napisami. Pod koniec maja odbyła się też kampania kinowa, która objęła zasięgiem łącznie ponad 26 tys. widzów. Krótsza, 30-sekundowa wersja filmu prezentowana była w 10 województwach, na 35 kinowych ekranach.



Wizyta dziennikarzy i delegacji węgierskiej w winnicy Solaris

12 czerwca, na konferencji prasowej, efekty i rezultaty działań podjętych w ramach projektu zaprezentowane zostały dziennikarzom z mediów lokalnych i ogólnopolskich. Oprócz części oficjalnej, na której dziennikarze mogli dowiedzieć się wszystkiego o projekcie, odwiedzili też Gospodarstwo Rybackie Pstrąg Pustelnia, Winnicę Solaris, firmę Fru-VitaLand oraz gospodarstwo agrotu-

Lubelskim. Klip jest promowany na oficjalnych profilach wytwórni Kayax oraz samego artysty w portalach społecznościowych.

Ponadto projekt przewidywał wiele działań skierowanych do opolskich przedsiębiorców: misje zagraniczne, warsztaty dla przedsiębiorców, utworzenie Centrum Obsługi Inwestora, specjalnej strony internetowej dla firm i oferty inwestycyjnej w języku polskim i angielskim.

– *To oczywiste, że realizacja projektu nie stworzy marki samej w sobie, ponieważ budowa marki regionu to proces długotrwały. Jednak dzięki działaniom, jakie realizujemy w ramach projektu, udało nam się już stworzyć bazę pod przyszłe działania oraz określić kierunek, w którym powinniśmy podążać. Cieszę się, że udało nam się też zaangażować do współpracy opolskich przedsiębiorców z ich doskonałej jakości produktami. Teraz powinniśmy się skupić na tym, żeby opolska krówka, opolskie masło, czy chleb zyskały własną tożsamość, bazującą na silnych stronach naszego regionu oraz silnie akcentując ten region na swoich opakowaniach* – mówi Dariusz Wróbel, burmistrz Opola Lubelskiego.

Projekt „Nowa marka – silny region – kompleksowa budowa marki regionu Opola Lubelskiego” jest współfinansowany ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Lubelskiego na lata 2007-2013. ■

Wizyta dziennikarzy i delegacji węgierskiej w gospodarstwie rybackim Pstrąg Pustelnia



Podobną do filmu formułę wędrówki przez najciekawsze miejsca w gminie Opole Lubelskie przybrał także nowy folder promocyjny. Bogato ilustrowane wydawnictwo promuje Opole pod kątem walorów przyrodniczych, ale także zachęca do odwiedzenia tutejszych firm i gospodarstw agroturystycznych.

rystyczne Sadyba Rozalin. Efektem wizyty były bardzo pozytywne artykuły, jakie ukazały się w mediach.

Dość nietypową formą promocji miasta jest nawiązanie przez Gminę Opole Lubelskie współpracy z zespołem Skubas. W ramach projektu artysta zrealizował swój najnowszy teledysk właśnie w Opolu



**PROGRAM
REGIONALNY**
NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI



WOJEWÓDZTWO
LUBELSKIE

UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI FUNDUSZ
ROZWOJU REGIONALNEGO



Dokąd jedzie PKS?

Blisko połowa Polaków ze względu na koszty nie planuje wakacyjnego wyjazdu. Kosztowny wyjazd za granicę albo nad polskie morze czy w góry można by zastąpić wypadem na Roztocze lub nad pobliskie jezioro. Jeśli jednak chodzi o środek transportu – tu wybór od kilku lat mamy coraz bardziej ograniczony. Do wielu miejsc na pewno nie dotrzemy popularnym kiedyś PKS-em.



Przestarzała flota raczej odstrasza pasażerów; fot. flickr.com

Przedsiębiorstwa komunikacji samochodowej, stanowiące własność Skarbu Państwa, powstały na początku lat 90. na bazie 167 oddziałów pasażerskich i pasażersko-towarowych Państwowego Przedsiębiorstwa Komunikacji Samochodowej. Z każdego oddziału utworzono odrębne przedsiębiorstwo. Dziś sytuacja wielu PKS-ów jest dramatyczna. Do tej pory ponad połowa z nich upadła, a wiele jest w trudnej sytuacji finansowej.

Jazda w dół

W ubiegłym roku poddała się kolejna spółka. PKS Tomaszów Lubelski w 2007 roku był uznawany za jeden z najlepszych w województwie lubelskim. Wtedy to decyzją ministra skarbu z połączenia kilku działających w województwie przewoźników utworzono PKS Wschód. W skład nowej spółki, w 2008 roku przekształconej w spółkę akcyjną Skarbu Państwa, weszły PKS-y w Lublinie, Krasnymstawie, Hrubieszowie, Włodawie i Tomaszowie Lubelskim. Obok przedsiębiorstw dobrze radzących sobie na rynku znalazły się te, które już wtedy stały na skraju przepaści. Połączenie – i wspólne ponoszenie kosztów, m.in. paliwa czy części zamiennych – miało pomóc postawić je na nogi. Jednak firma wciąż przynosiła straty. W 2010 r. ministerstwo skarbu przekazało

nieodpłatnie spółkę PKS Wschód samorządowi województwa lubelskiego, który w latach 2012-2013 ponownie wydzielił z niego odrębne spółki przewozowe: Lubelskie Linie Autobusowe, PKS Włodawa, PKS Hrubieszów i PKS Tomaszów Lubelski. W związku z zaprzestaniem działalności przewozowej przez PKS Wschód, w czerwcu 2013 r. zmieniono statut i nazwę firmy – na Lubelskie Dworce S.A.

Choć do działalności przewozowej wciąż trzeba było dokładać i lubelskie PKS-y przynosiły straty, spółki wciąż miały coś, co skutecznie kusilo potencjalnych nabywców. Dworce zlokalizowane w centrach poszczególnych miejscowości, czy place manewrowe przy ruchliwych ulicach są łakomym kąskiem, jeśli nie dla przewoźników, to na pewno dla deweloperów. W przypadku PKS Tomaszów Lubelski była to zajezdnia autobusów położona na działce o powierzchni 1,25 hektara przy głównej drodze w stronę granicy z Ukrainą. Jej wartość szacowano na co najmniej 5-6 mln zł.

W wystąpieniu pokontrolnym z sierpnia 2014 roku NIK zauważa, że zgodnie z wyceną dokonaną w lutym 2012 r. wartość Oddziału PKS Wschód S.A. w Tomaszowie Lubelskim wynosiła 3 347 tys. zł. Na koniec tego samego roku nowo utworzona spółka przyniosła stratę w wysokości 2 020,8 tys. zł,

a jej zobowiązania wynosiły 3 347 tys. zł. Ostatecznie w marcu 2013 r. PKS Tomaszów Lubelski w warunkach przymusu szybkiej sprzedaży (czyli braku czasu na uzyskanie najatrakcyjniejszej oferty) sprzedano za nieco ponad 500 tys. zł... firmie budowlanej Wodrol, specjalizującej się w – jak czytamy na jej stronie internetowej – „projektowaniu i realizacji inwestycji ‘pod klucz’ z dziedziny inżynierii sanitarnej i ochrony środowiska oraz w budowie i wynajmie powierzchni biurowo-handlowych”. Wkrótce potem nowy właściciel złożył do sądu wniosek o ogłoszenie upadłości przewoźnika. Dziś na miejscu zajezdni stoi galeria handlowa.

Upadek PKS to nie tylko zniknięcie z rynku jednego z przewoźników, ale także utrata miejsc pracy, bolesna w niebogatym województwie lubelskim. Dlatego ratowaniem lokalnych przewoźników zainteresowane są samorządy, o swoje miejsca pracy próbują walczyć także załogi.

Co się opłaca?

W marcu Urząd Marszałkowski przedstawił radnym raport z sytuacji w spółkach przewozowych. Zyskiem za 2014 rok (1,7 mln zł) mogą się pochwalić jedynie Lubelskie Dworce, które deficytową działalność przewozową pozostawiły spółkom-córkom. Wszystkie



Dworce i place manewrowe to często największy majątek PKS-ów; fot. wikipedia

one też zanotowały w ubiegłym roku straty. Największą, bo aż 4,5 mln, Lubelskie Linie Autobusowe. PKS Hrubieszów zamknął rok ze stratą 377 tys. zł, a PKS Włodawa – 784 tys. zł. Spośród przedsiębiorstw niewchodzących w skład LD, na minusie był też PKS Biłgoraj, jedynie Międzyrzec Podlaski i Zamość wypracowały zysk.

Zadzwoniliśmy z gratulacjami do prezesa PKS Zamość. – *Nie wiem, czy można to nazwać wypracowaniem zysku – prostuje Andrzej Mulawa. – Po prostu konsumujemy pieniądze ze sprzedaży nieruchomości, stąd prawie całe zyski. Tak naprawdę strat nie miały tylko Dworce Lubelskie, ale one rozdysponowały przewozy pasażerów między spółki-córki i zarabiają na innej działalności. A na działalności przewozowej po prostu się traci. Jak to – brniemy – to pasażerowie jeżdżą na gapę? – To może ja zadam pani pytanie – odpowiada prezes. – Kiedy pani jechała autobusem po kraju? Jest niż demograficzny, młodzi ludzie wyjechali z Zamościa, samorząd też nie ma pieniędzy, a w dodatku pojawiło się mnóstwo nowych przewoźników. Z kolei gdybym zmienił profil działalności i zajął się na przykład naprawą samochodów, zaraz ktoś by zapytał: „Dlaczego pan tego prywatnie nie robi?”. Prostych rozwiązań nie ma.*

Najwyraźniej. PKS-em nie pojedziemy już na przykład z Zamościa do Białej Podlaskiej, a do odległego o 30 km Tomaszowa Lubelskiego odjeżdża tylko jeden autobus. Chyba że zdecydujemy się na konkurencję i pojedziemy z jednym z prywatnych przewoźników, którym opłacają się kursy pasażerskie. Jakim cudem? Panuje przekonanie, że na kiepską kondycję PKS-ów największy wpływ ma niewystarczająca kontrola nad pracownikami (komu nie zdarzyło się w autobusie spotkać z sytuacją, gdy pasażer płaci za bilet, którego nie dostaje do ręki?) i przerost administracji. Jednak Zbigniew Mańka, dyrektor techniczny w prywatnej, świetnie radzącej sobie na rynku przewozowym, firmie BP Tour, broni „państwowego” konkurenta, choć ma mu za złe wykorzystywanie przewagi, jaką daje administrowanie dworcami i przystankami. – *Jako firma prywatna mogliśmy wybierać linie, które obsługujemy, podczas gdy PKS-y utrzymywały nierentowne*

połączenia – tłumaczy. – Ponadto zadłużonych PKS-ów często nie stać na wymianę floty. Nadal wożą więc wielu pasażerów wielkimi, starymi i bardzo „paliwożernymi” autobusami, podczas kiedy prywatni przewoźnicy, prowadzący telefoniczną rezerwację miejsc, mogą wysłać znacznie mniejsze pojazdy. Ale wzrost zatrudnienia rzeczywiście naszej konkurencji nie pomaga, a różnice widać nie tylko w liczebności kadry nadzorczej. Nasza firma przy 80 autobusach zatrudnia na przykład 5-6 mechaników, podczas gdy PKS nawet kilkudziesięciu.

A co, kiedy PKS próbuje jednak realizować swoją podstawową funkcję i wozić pasażerów?

Zawrócić znad przepaści

Kupnem części udziałów „swojego” PKS zainteresowane są gminy powiatu hrubieszowskiego. Samorządowcy chcieliby wykupić około 20-25 proc. udziałów, czekają jednak na ostateczne stanowisko zarządu województwa i Lubelskich Dworców. – *Dopóki wła-*



Dawne państwowe molochy muszą dziś konkurować z prywatnymi przewoźnikami; fot. wikipedia

ściel nie zajmie konkretnego stanowiska, stoimy w martwym punkcie – mówi Lech Bojko, wójt gminy Werbkowice i przewodniczący ZGZH. – Firma zatrudnia kierowców i innych pracowników nie tylko z Hrubieszowa, ale i wielu okolicznych miejscowości, zależy nam jednak nie tylko na miejscach pracy. Chodzi także o uczniów dojeżdżających do szkół i o to, by mieszkańcy mogli bez przeszkód poruszać się po regionie. Nie ukrywam, że myślimy także o ustawie o transporcie zbiorowym, która wejdzie w życie 1 stycznia 2017, przewidującej obowiązek dopłacania do transportu zbiorowego przez samorządy. Tego przewoźnika znamy, możemy przewidzieć, jakiej wysokości będą to dopłaty, a przecież to nie jedyny zada-

nie, jakie nakłada na nas ustawodawca, nie dokładając pieniędzy. Ważne jednak jest dla nas, żeby pojawił się inwestor strategiczny, który zna się na prowadzeniu działalności przewozowej – dodaje wójt Bojko. – Nie sztuka kupić firmę i przyglądać się, jak nadal upada, trzeba ją też umieć skutecznie poprowadzić. Samorządowcy liczą na sprywatyzowany wcześniej PKS Chełm, ale pojawiły się też sygnały od kilku lokalnych przedsiębiorców.

O kolejną spółkę-córkę PKS Wschód postanowiła zaważać jej załoga. Przedstawiciele spółki Pracownicy PKS Włodawa obawiają się długów firmy, które – przypomnijmy – już w ubiegłym roku wynosiły 784 tys. zł, ale w tym względzie nie mogą liczyć na pomoc publiczną. Zarząd województwa, jak tłumaczy odpowiedzialny w nim m.in. za transport Paweł Nakonieczny, nie może bowiem angażować wspólnych środków w spłacenie zadłużenia wygenerowanego przez władze spółki. Z kolei Lubelskie Dworce obstają przy swojej decyzji, by udziały włodawskiego PKS oddać jedynie

w dzierżawę. – *To nie jest idealne wyjście – przyznaje Janusz Rysz, prezes spółki Pracownicy PKS Włodawa. – Dla nas najlepszą opcją byłoby kupno, bo wiadomo, że lepiej pracować na swoim. Ale prawdę mówiąc stoimy pod ścianą. Przy tak wysokim bezrobociu, jakie panuje w naszym regionie, zgodzimy się zapewne na każde rozwiązanie, na jakie będzie nas stać. Przyznam jednak, że z rozmowy z marszałkiem Sosnowskim (odbyła się 23 lipca – red.) wyszedłem*

z nadzieją na pozytywne zakończenie. Tym większą, że to przecież poprzedni marszałek, Krzysztof Hetman, w ubiegłym roku namawiał związkowców do brania spraw w swoje ręce i tworzenia spółek pracowniczych.

Włodawski PKS zatrudnia ponad 70 pracowników, a jego majątek wycenia się na ok. 3 mln zł. Zobowiązania spółki sięgają dziś ponad 1 mln zł.

Na będące w najgorszej sytuacji finansowej Lubelskie Linie Autobusowe nie ma na razie chętnych. Zwłaszcza, że – jak wynika z raportu zarządu województwa – w spółce potrzebne będą milionowe inwestycje, głównie w starzejący się i coraz bardziej zawodny dziś (od maja do grudnia 2014 roku autobusy LLA miały 55 awarii) tabor.

Joanna Gierak

Grupy producenckie – wykorzystana szansa!



Kiedy kilkanaście lat temu ówczesny minister rolnictwa Wojciech Olejniczak podczas licznych wizyt u lubelskich rolników gorąco zachęcał do zrzeszania się i tworzenia grup producentów wszelkich branż produkcji rolnej, jego namowy spotykały się z pewną dozą nieufności.

Na ile wynikało to z braku zaufania do nowych perspektyw finansowania i zbliżającego się wielkimi krokami rynku wspólnotowego UE, a na ile ze zwykłej niewiedzy? Nie wiadomo. Ważne, że w tym przypadku nie sprawdziło się stare polskie porzekadło, że Polak mądry po szkodzie.

Polscy rolnicy szybko odkryli wielkie możliwości dla swoich gospodarstw płynące z programów finansowych pochodzących z budżetu UE. Z każdym rokiem pieniądze unijne zmieniały polską wieś. Powstawały nowoczesne nasadzenia, rolnicy wymieniali przestarzały sprzęt na nowoczesny i bardziej wydajny; chłodnie, magazyny i wszelakie budynki gospodarcze powstawały niczym przysłowiowe grzyby po deszczu. Na przestrzeni ostatnich

lat gołym okiem widać, że rolnicy jako grupa zawodowa stali się największymi beneficjentami funduszy europejskich i chyba najlepiej, obok jednostek samorządowych, potrafili je wykorzystać.

I tu skierujmy swą uwagę na temat główny – swego rodzaju elitę krajowego rynku producentów płodów rolnych – czyli grupy producenckie.

Na początku powstawały sporadycznie, lecz – w myśl złotej zasady, że nie ma lepszej reklamy i zachęty do działania niż kopiowanie udanych pomysłów tych, którym się powiodło – rolnicy zaczęli się zrzeszać, tworzyć spółki prawa handlowego, aplikować po całkiem pokaźne kwoty do ARiMR, budując przedsiębiorstwa rolno-spożywcze, których zna-

czenie makroekonomiczne w całym obrocie produkcji rolnej w Polsce stale rośnie i z pewnością będzie wyznacznikiem dla całego sektora, także w przyszłości.

W województwie lubelskim mamy już wiele przykładów tak zwanych dobrych praktyk w tym zakresie. Na szczególną uwagę zasługują grupy producentów owoców i warzyw skupione wokół produkcji jabłek i owoców miękkich, które to uprawy stanowią bez wątpienia wizytówkę naszego regionu.

W roku 2011 na terenie powiatu opolskiego powstała największa branżowa grupa producentów – FruVitaLand sp. z o.o. Grupę założyło pięciu producentów rolnych. Podmiot skupia obecnie ponad 120 członków i obejmuje swym działa-





niem powierzchnię upraw sięgającą ponad 1000 ha na terenie powiatów opolskiego, kraśnickiego, puławskiego i łęczyńskiego.

– Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom naszych odbiorców, jak również członków grupy oraz pozostałych dostawców, wybudowaliśmy nowoczesny obiekt magazynowy w miejscowości Piotrawin, wyposażony w profesjonalne maszyny sortujące oraz chłodnie z kontrolowaną atmosferą o łącznej powierzchni 6 tys. metrów kwadratowych. Kolejny, równie imponujący obiekt, w oddalonej o niespełna 30 km miejscowości Granice, skoncentrowany jest na skup, obróbkę i przygotowywanie do sprzedaży owoców miękkich, głównie malin. Całość, obejmującą centra dystrybucyjne, chłodnie operacyjne oraz stanowiska załadunkowe, jest przystosowana do zagospodarowania kilkuset ton owoców dziennie – mówi Rafał Szmit, prezes zarządu grupy. – Ponadto należy podkreślić, że nasza grupa posiada certyfikat IP oraz systemy Global G.A.P. i HACCAP. – dodaje wiceprezes Sławomir Ziętek.

Grupa FruVitaLand handluje już z wieloma krajami rynków europejskich, a swoją pozycję zaznacza czyn-

nie uczestnicząc w najważniejszych branżowych targach w Berlinie, czy też konferencjach specjalistycznych organizowanych w Chinach. Skalę i dynamiczny rozwój grupy dostrzegli inni beneficjenci branży rolno-spożywczej, zapraszając spółkę do uczestnictwa w tworzeniu klastra skupiającego producentów i kooperantów rynku owocowego Ziemi Lubelskiej.

Powiązanie kooperacyjne klastra stanowić będzie m.in. otoczenie biznesowe Lubelskiego Centrum Certyfikacji Jakościowej Produktów Regionalnych, które w najbliższych latach powstanie w Kraśniku. Partnerami w obu przedsięwzięciach są m.in. Związek Sadowników RP, Lubelski Uniwersytet Medyczny, Powiat Kraśnicki i Wyższa Szkoła Zawodowa z Chełma.

Najnowszym osiągnięciem grupy jest doprowadzenie do powstania spółki skupiającej pięć grup producentów owoców i warzyw, mającego na celu utworzenie jednego z największych we Wschodniej Polsce podmiotów wytwarzających doskonałej jakości produkty rolne, ale też ich przerób i dystrybucję na rynki światowe.

Reasumując – jeżeli chcemy promować i chwalić się osiągnięciami gospodarczymi i tzw. dobrymi praktykami Lubelszczyzny, to z pewnością przykład dynamicznego rozwoju Grupy FruVitaLand stanowi wzór godny do naśladowania i z całą odpowiedzialnością może pretendować do ubiegania się o laur Ambadora Województwa Lubelskiego.

Grzegorz Teresiński





W „Panoramie” niejednokrotnie podejmowaliśmy temat aktywności kobiet. Kibicowaliśmy przedstawicielkom „płci pięknej” realizującym się w samorządzie, biznesie, polityce – i w domu. Co się jednak dzieje, kiedy kobieta, niejednokrotnie powodowana trudną sytuacją ekonomiczną, musi opuścić dom i szukać pracy daleko od niego?

Migrująca opieka

Przez stulecia było jak w znanej piosence: męską rzeczą było „być daleko, a kobietą – wiernie czekać”. I opiekować się jego domem i dziećmi oraz starzejącymi się rodzicami obojga małżonków. Wśród migrantów przeważali mężczyźni, a kobiety na ogół migrowały „przy mężu” albo w ramach łączenia rodzin. Co sprawiło, że dziś proporcje zaczynają się wyrównywać, a badacze mówią o „feminizacji migracji”?

Po pierwsze: zmieniła się sytuacja kobiet na rynku pracy. Przemiany ekonomiczne i społeczne umożliwiły dotychczasowym „westalkom” realizowanie się na wielu płaszczyznach dotąd im niedostępnych, a jednocześnie wymusiły zmiany w tradycyjnych relacjach rodzinnych. Jak zauważa prof. Zofia Kawczyńska-Butrym z Instytutu Socjologii UMCS, badająca w ramach polsko-norweskiego projektu „Polish female migrants and their families – a study of care deficit” problem „deficytu opieki” w rodzinach Polek migrujących do Norwegii, zapracowane kobiety mają mniej czasu na zajęcia domowe, co z jednej strony przyniosło dobry skutek w postaci większego zaangażowania w nie mężczyzn, ale z drugiej – spowodowało pojawienie się nierównowagi między potrzebami opiekuńczymi rodziny a możliwościami ich zaspokojenia. Zwłaszcza w ob-

liczu podnoszącej się średniej wieku w społeczeństwie przy malejącej liczbie dzieci, które mogłyby podzielić między siebie opiekę nad wprawdzie coraz dłużej żyjącymi, ale też coraz bardziej niedomagającymi rodzicami. Ten deficyt potęguje także zmieniająca się struktura migracji.

Od kilkunastu lat, zwłaszcza po akcesji naszego kraju do Unii Europejskiej, w polskiej literaturze naukowej i publicystyce opisywane jest zjawisko tzw. eurosieroctwa. Publicyści w ślad za psychologami i pedagogami biją na alarm: nieregularne i zbyt rzadkie kontakty z rodzicami wywołują podobnie niekorzystne skutki w procesie wychowawczym, jak prawdziwe osierocenie. Wyjeżdżające matki starają się oczy-

wiście zapewnić jak najlepszą opiekę swoim pozostawionym w kraju rodzinom. Najczęściej proszą o pomoc najbliższych krewnych – pozostających mężów, matki, teściowe, rodzeństwo, jednak opiekunowie często nie dają sobie rady z dziećmi i ich problemami. – *Tęsknota, poczucie odrzucenia, przekonanie, że matka je zostawiła* – wylicza prof. Kawczyńska-Butrym. – *Bunt przejawia się w zachowaniu: w agresji, wycofaniu, zaniedbywaniu nauki. Są doniesienia lekarzy, które mówią o zaburzeniach psychicznych, depresji. Także wśród dzieci migrujących z rodzicami znacznie zwiększa się wskaźnik samobójstwa, co zapewne związane jest nie tylko ze zmianą środowiska, ale także z tym,*



że w obcym społeczeństwie – nawet tak poprawnym politycznie jak Norwegowie – dzieci imigrantów często spotykają się z agresją, pogardą, dyskryminacją.

Ale deficyt opieki dotyczy nie tylko dzieci. Jednym ze zjawisk badanych przez zespół naukowców pod kierownictwem prof. Kawczyńskiej-Butrym jest „transfer opieki”. Polki coraz częściej opuszczają własne rodziny, by w zamożnych, coraz dłużej żyjących społeczeństwach podjąć pracę zarobkową w usługach opiekuńczych i domowych. Jak zapewniają opiekę własnym starzejącym się rodzicom? – Problem deficytu opieki dotyczy zarówno dzieci pozostawionych przez kobiety migrujące, jak i ich rodziców – zauważa pani profesor. – Z tym że dzieci, kiedy osiągną odpowiedni wiek, często dołączają do rodziców pracujących za granicą. Ze starszymi osobami sprawa jest bardziej skomplikowana. Wiadomo: z wiekiem zdrowie się pogarsza, a opieka medyczna w Polsce, przy wszystkich zastrzeżeniach, jakie do niej mamy, jest stosunkowo dobra i po prostu o wiele tańsza. Wyjeżdżające kobiety starają się więc zabezpieczyć rodzicom opiekę; zapewniają opiekę specjalistów, kupują lekarstwa, „zatrudniają” nieformalnie rodzeństwo (choć o tym mówią niechętnie, w obawie przed na przykład kontrolą skarbową). Bardzo rzadkim rozwiązaniem jest pozostawianie rodziców w domach opieki. W Polsce wciąż jest to źle przyjmowane, więc nawet kiedy kobiety się na to decydują, niechętnie o tym mówią.

A jak deklaracje przekładają się na praktykę? – Wygląda to różnie – mówi prof. Kawczyńska-Butrym. – Dlatego nasze badania przebiegały niejako dwutorowo – kobiety pracujące w Norwegii pytaliśmy o to, jak zabezpieczają opiekę nad swoimi rodzinami i w jaki sposób pomagają w tym, żeby była ona zapewniona. Natomiast w Polsce sprawdzaliśmy, jak faktycznie to wygląda. Czy opieka jest realizowana, w jakim zakresie, kto ją realizuje i jakie są trudności opiekunów i problemy tych zostawionych. Pytania były skierowane do pozostawionych dzieci i rodziców, ale także do opiekunów dzieci i osób starszych, nauczycieli, pracowników socjalnych zajmujących się dziećmi i osobami starszymi, nawet księży, bo parafie



także często pełnią ważną rolę w opiece. Niejednokrotnie okazywało się, że deklaracje kobiet i opinie opiekunów i środowiska w kraju bardzo się różniły. Opieka socjalna w Polsce nie stoi jeszcze na takim poziomie, jakiego moglibyśmy sobie życzyć, nie bez znaczenia są też kwestie psychologiczne. Nie tylko dzieci czują się porzucone, także rodzice, coraz bardziej zdani na opiekę obcych osób, odczuwają dyskomfort. Dom opieki nie jest rozwiązaniem idealnym, ale starość nie jest łatwa dla żadnej ze stron. Z jednej strony brakuje zrozumienia – dla starości, dla chorób, które dotykają starych ludzi, tego, że nie pamiętają, że mają swoje, czasem denerwujące, przyzwyczajenia... Z kolei starsze osoby mają świadomość, że stają się ciężarem dla swoich opiekunów. To rodzi konflikty.

Czy można znaleźć dobre rozwiązanie dla tych nowych problemów?

– Do dawnego modelu rodziny już nie wrócimy – ucina prof. Zofia Kawczyńska-Butrym. – Należałoby w i ę c rozwijać instytu-

cjonalne formy opieki. W przypadku ludzi starszych dobrym rozwiązaniem wydają się coraz popularniejsze w zaможniejszych krajach, ale także u nas, domy opieki społecznej, o charakterze socjalnym (możliwość zjedzenia posiłku) i „towarzysko-edukacyjnym”, gdzie pod opieką specjalistów starsze osoby organizują sobie czas, spotykają się z rówieśnikami i realizują pasję, na które nie miały czasu wcześniej. Współczesne społeczeństwo stara się też być jak najdłużej samodzielne. Dlatego coraz częściej pojawiają się pomysły, żeby tworzyć mieszkania chronione dla osób starszych, na wzór tych dla niepełnosprawnych. Oczywiście, przy pewnej modyfikacji prawnej i organizacyjnej. Dzięki temu starzejący się człowiek ma własne mieszkanie, a jednocześnie opiekę. Oraz pomoc sąsiadów, za którą może się odwdziżyć im z kolei pomagając w tym, z czym sam lepiej sobie radzi. Takie są realia – dzieci wyjechały, a nikt nie chce korzystać z pomocy we wszystkim. Wiele zależy od możliwości i organizacji społeczności lokalnej i podejmowanych w niej inicjatyw.

Natomiast migrujący rodzice powinni przed wyjazdem analizować nie tylko kwestie ekonomiczne, ale także skutki, jakie długa rozłąka przynosi rodzinie. Wyjazdy nie zawsze są spowodowane absolutną koniecznością. Jeżeli więc rodzice jadą nie po to, żeby ratować dramatyczną sytuację finansową, ale chcą tylko poprawić swoją stopę życiową, może warto rozważyć, czy koszty wyjazdu nie okażą się zbyt wysokie.

Joanna Gierak
fot.: pixabay.com



Święto Kobiet Aktywnych

Piękny, słoneczny dzień wprost wymarzony do zorganizowania plenerowego pikniku.

Pośród malowniczej scenarii parku położonego wokół Urzędu Gminy w Józefowie nad Wisłą stoi rozstawiony na – bagatela – tysiąc miejsc siedzących namiot...

Wszystkie miejsca wypełnione do ostatniego! Tuż obok, pod szpalerem dających cudowne ochłodzenie drzew, na przyszytych trawnikach, niczym na dywanie, rozłożone koce, a na nich kolejne liczne grupki kobiet.

Tuż przed ogromnym namiotem stoi okazała scena. Zewsząd dochodzą odgłosy radości, śmiechu i wzajemnego nawoływania: – *Czy są wśród nas przedstawicielki powiatu lubelskiego?* – pada pytanie ze sceny. – *Tak!!!* – odpowiada chórálne potwierdzenie.

I tak po kolei witane są przedstawiciele wszystkich regionów Lubelszczyzny przybyłe na Forum Kobiet Aktywnych. Wita, ubrana w odświętną suknię, prezes Stowarzyszenia Równych Szans – Bona Fides, pani Iwona Przewor. Bezapelacyjnie sprawuje rząd dusz nad przybyłymi paniami, przy ich radosnej aprobacie.

Zapowiada bogaty program kobiecego święta. A w nim między innymi: „Jak i czy żyć w zgodzie z naturą” – panel prowadzony przez gwiazdę polskiej sceny muzycznej Reni Jusis, „Jak zachować równowagę w życiu” – panel prowadzo-



ny przez Mariolę Bojarską-Ferenc. Oprócz tego: liczne warsztaty na temat roli odpowiedzialnego macierzyństwa, edukacji, szeroko rozumianej ekologii. Ponadto wy-

stępy teatralne i rzecz oczywista w przypadku kobiet – pokazy mody. Dziś w wydaniu eko!

Nieopodal sceny głównej ulokowano dwie pomniejsze. Na wszystkich trzech, równolegle odbywają się panele dyskusyjne, pokazy dobrych praktyk i warsztaty tematyczne.

– *Jak się Panie odnajdują na dzisiejszej imprezie?* – pytam przechodzącą obok grupkę. – *Jest wspaniale! Przyjechaliśmy z zamojskiego. To dobrze, że ktoś o nas myśli i pokazuje życie kobiet z innej strony, niż ta zwyczajowo przyjęta w naszej kulturze. Kobiety w Polsce muszą ponosić odpowiedzialność nie tylko za siebie, ale za swoje rodziny, wychowanie dzieci, prowadzenie domów, zarabianie pieniędzy. To ciężkie do pogodzenia, dlatego dobrze, że dzięki takim imprezom pokazujemy, że jesteśmy na tyle silne i zorganizowane, że stać nas jeszcze na organizowanie życia kulturalnego dla innych. Tworzymy organizacje pozarządowe, kółka gospodyń, gdzie wielopokoleniowa tradycja miesza się z realizacją potrzeb życiowych, takich jak na przykład organizowanie przedszkoli czy opieki nad starszymi. A teraz uciekamy do swoich dziewczyn, bo musimy rozstawiać stoisko z naszymi regionalnymi specjalami! Zapraszamy do nas!*

Tak, bez wątpienia, czego jak czego, ale pozytywnej energii zgromadzonych w Józefowie nad Wisłą pań można tylko zazdrościć!



Jednym z głównych sponsorów i współorganizatorów święta był Wójt Józefowa nad Wisłą – Grzegorz Kapica. – *Panie Wójcie, co skłoniło pana do zaproszenia setek tak energetycznych pań do Józefowa?* – pytam. – *Ktoś niedoświadczony mógłby powiedzieć, że jest to zabieg stricte promocyjny dla tutejszego regionu i jest to po części prawda – przyznaje Wójt – ale odpowiem tak: dotychczasowe życie zawodowe, nie tylko jako samorządowca, skłoniło mnie do refleksji, że większość otaczającego nas życia, codziennych spraw i problemów organizują właśnie kobiety. Poza tym nie sposób nie dostrzec dynamicznego rozwoju aktywności kobiet przy powstawaniu oddolnych inicjatyw obywatelskich. Bynajmniej nie ogranicza się to do tworzenia kolejnych kół gospodyń, ale do przedsięwzięć z pogranicza działalności ekonomii społecznej. Także rolę samorządu, choć tą niepiśaną, jest promocja działań*



Obraz i postrzeganie kobiet w Polsce zmienia się dynamicznie i niekoniecznie w świetle jupiterów sceny politycznej, ku zmartwieniu sporej grupy działaczek quasi-feministycznych i Pań, które z pozycji przynależności do partii politycznych czasami uzurpują sobie prawo do decydowania i orzekania, co jest dla kobiet dobre, a co złe. Na szczęście mądrość i zdrowy rozsądek Pań bierze górę w życiu codziennym, czyli tym na wskroś prawdziwym.

Nic dodać, nic ująć. Jeśli feminizm ma mieć taki wizerunek, jak ten przedstawiony w Józefowie, to od dziś każdy mężczyzna powinien być jego propagatorem.

Grzegorz Teresiński

Zdjęcia: Michał Teresiński / Love Art Photo

obywatelskich, a dziś mamy w Józefowie do czynienia ze zjawiskiem ponadregionalnym, którego wydzźwięk jest dostrzegany w całym kraju.

Dziękuję za rozmowę i idę dalej. Przy bogatych i niezwykle barwnych stoiskach promocyjnych trwają ożywione dyskusje. Przedstawicielki biznesu dzielą się swoimi doświadczeniami z paniami ze stowarzyszeń, którym marzy się pozytywna w swym znaczeniu komercjalizacja pracy i szukania możliwości dodatkowego zdobywania pieniędzy.

Zwieńczeniem dnia był wspaniały i niezwykle kobiecy w swoim przesłaniu koncert Anny Marii Jopek.



Nowinki na niwach

Ktoś tu jeszcze tęskni „Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych”? Ktoś chciałby „tych pól malowanych zbożem rozmaitem, Wyzłaczanych pszenicą, posrebrzanych żytem; Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała, Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała, A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą zieloną, na niej z rzadka ciche grusze siedzą”? Te pejzaże znikają i żadna siła tego nie powstrzyma mimo wieloletnich starań.

W listopadzie 2000 została założona Międzynarodowa Koalicja dla Ochrony Polskiej Wsi (ICPPC) z siedzibą w Strykowie, postulując: pozostawienie małych gospodarstw rolnych, promocję współpracy między rolnikami, sprzedawanie produktów lokalnych w małych sklepach i na lokalnych targowiskach, nakłanianie rolników do prowadzenia gospodarstw metodami ekologicznymi, tworzenie miejsc pracy na wsiach, zachowanie tradycji i kultury oraz zadbanie o jakość naszych produktów i zaspokojenie w oparciu o nie rynku krajowego. Na początku swojej działalności skierowała do rządu Kartę 21 – ma-

nifest dla polskiej wsi XXI wieku, w której domagała się, aby:

- * natychmiast rozpocząć realizację świadomej polityki, której celem będzie ochrona i promocja wartości polskiej wsi, będących w opozycji do szybko postępujących procesów globalizacji;

- * uznać, że jedyną drogą gwarantującą społeczeństwu optymalne zdrowie i dobry stan środowiska naturalnego są: rozpowszechnianie sposobu odżywiania opartego na lokalnej żywności wysokiej jakości oraz zachowanie krajobrazu wiejskiego cechującego się naturalną bioróżnorodnością;

- * rozwijać i wspierać strategię zachowującą dużą liczbę rolników, tradycyjną mozaikę gospodarstw rodzinnych oraz rozwój silnych, lokalnych i regionalnych rynków zbytu;

- * docenić ekonomiczne i społeczne korzyści jakie niosą ze sobą ekoturystyka, przetwórstwo w gospodarstwach rolnych, odnawialne źródła energii, ekologiczna gospodarka leśna, bogactwo krajobrazu polskiej wsi i wspierać je w praktyce.

Rząd Polski nie powinien:

- * powtarzać restrukturyzacyjnych błędów innych państw europejskich, pozbawiając w ten sposób kraj jego zasobów lokalnych i doprowadzając do bankructwa setki tysięcy rolników;

- * dopuszczać do sprzedaży i produkcji odrzucone przez wielu naukowców oraz świadomych konsumentów

z całego świata genetycznie zmodyfikowane produkty żywnościowe (GMO);

- * dopuszczać do przemysłowych metod produkcji rolnej.

Obecnie ICPPC wyjaśnia dlaczego kontrowersje i nieufność budzi TTIP, czyli Transatlantyckie Partnerstwo w dziedzinie Handlu i Inwestycji, porównywane do słynnej ACTA. Transatlantic Trade and Investment Partnership – porozumienie handlowe negocjowane od 2013 roku, mające na celu utworzenie strefy wolnego handlu pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Unią Europejską. W lutym 2014 r. komisarz UE Karel De Gucht wyraził nadzieję, że porozumienie zwiększy dochód narodowy obu stron o ok. 0,5 proc. Inne źródła wskazują jednak wysokie prawdopodobieństwo utraty 600 tys. miejsc pracy w UE.

Przeciwnicy TTIP krytykują brak przejrzystości w pracach nad porozumieniem, co ich zdaniem uniemożliwia rzetelne konsultacje społeczne. Niemniej na portalu Komisji Europejskiej (ec.europa.eu) opublikowano informację, że 10. runda negocjacji w sprawie TTIP odbędzie się w Brukseli w dniach 13–17 lipca.

W globalnej wiosce nie da się zahamować zmian, zwłaszcza, że rolnicy wolą być farmerami w zachodnim stylu niż małorolnymi chłopami. Dzięki osiągnięciom nauki i ekonomii zmieniają się charakter i sposób upraw. Wiosną, gdy pola Lubelszczyzny ja-





śnieją żółtymi łanami rzepaku, trudno wyobrazić sobie, że w Europie Środkowej, w tym także w Polsce, rzepak jako roślina uprawna pojawił się około XVI wieku. Według danych Rocznika Statystycznego GUS średnia powierzchnia uprawy rzepaku i rzepiku w Polsce w okresie 1909-1913 wynosiła 30 tys. ha. Obecnie jedyną rośliną oleistą produkowaną i przerabianą w Polsce na szeroką skalę jest rzepak, który w areale upraw roślin oleistych ma nawet 97-procentowy udział. Po akcesji Polski do Unii Europejskiej zbiory rzepaku gwałtownie wzrosły, zwiększyły się z poniżej 1 mln ton średnio w ostatnich latach przed akcesją (2000-2003) do 1,7 mln ton w latach 2004-2007 i 2,1 mln ton w latach 2008-2012. W 2013 r. nastąpił wzrost do rekordowego poziomu prawie 2,7 mln ton. Areał upraw przekroczył 900 tys. ha.

Niebawem rzepak nie będzie prawdopodobnie najpopularniejszą rośliną oleistą uprawianą w Polsce. W „Rapporcie rolnym” dr inż. Tadeusz Solarzski przypomina, że ocieplanie się klimatu oraz postęp w hodowli nowych odmian umożliwiają uprawę soi. Na polach doświadczalnych Lubelskiego Ośrodka Doradztwa Rolniczego w Końskowoli roślina ta uprawiana jest ponad dwadzieścia lat. Zbierano plony w granicach 2,8–3,5 t/ha. Niemniej dla produkcji zwierzęcej i potrzeb spożywczych jest import z Ameryki. Aktualnie do naszego kraju sprowadza się około 2,5 miliona ton śruty sojowej. Przy zaangażowaniu nie tylko rolników, ale innych instytucji krajowych związanych z przetwórstwem i marketingiem, jest możliwe znaczną ilość importowanej śruty sojowej zastąpić śrutą otrzymaną z polskich nasion. Rozpoczęty w Pol-

sce program rozwoju produkcji białka roślinnego powinien sprzyjać podjęciu uprawy soi wolnej od GMO.

Wątpiącym w możliwości uprawy soi można przypomnieć, że 40 lat temu nie dawano szans uprawie kukurydzy w Polsce, a dziś największy wzrost powierzchni uprawy dotyczy właśnie tego zboża. W 2012 roku zebrano około 4 mln ton ziarna i trudno sobie obecnie wyobrazić rolnictwo i żywienie bydła bez kukurydzy. Jednak ostatnie kilka lat, w których w maju i czerwcu są susze, nie ułatwiają uprawy tej rośliny. Na ojczystych polach pojawiają się również bardziej ekscentryczne rośliny, jak np. sorgo, które w następnym półwieczu może wypierać kukurydzę.

Pejzaże opiewane przez Mickiewicza i Reymonta mogą niedługo być podziwiane jedynie w zdigitalizowanych zbiorach bibliotek. Tradycyjne niwy szybko zmieniają koloryt. Coraz większa popularność herbatek owocowych i ziołowych zachęca do uprawy mało popularnych dotychczas roślin typu hibiskus, czy ostrożeń warzywny – czarcie żebro. Na opakowaniach herbatek można przeczytać, jak wiele mają zalet. Bywa jednak, że piękni i niewinni przedstawiciele flory stają się podstępnie niebezpieczni.

Problem inwazyjnych gatunków obcych rośnie jako następstwo globalnego handlu, transportu i turystyki. Nie napotykać naturalnych wrogów mogą wypierać gatunki rodzime. Wiele krajów zмага się z kosztownym problemem gatunków obcych. Na przykład roczne szkody w środowisku spowodowane przez gatunki obce w Stanach Zjednoczonych, Brazylii, Południowej Afryce, Wielkiej Brytanii, Indiach oraz Australii oceniono na ok. 100 miliardów dolarów amerykańskich.

Szereg gatunków wykorzystywanych w leśnictwie i rolnictwie świadomie zostało sprowadzonych przez człowieka w celu zwiększenia produkcji i konkurencyjności na rynku (np. dąb



czerwony, lucerna siewna) lub zostało posadzonych jako rośliny ozdobne w ogrodach i parkach (np. klon jesionolistny, nawłóć kanadyjska). W tym sezonie głośno jest o oparzeniach barszczem Sosnowskiego, sprowadzonym do Polski z Kaukazu na paszę dla bydła. Tymczasem rośliną z piekła rodem jest płonący krzew, który ujrzał Mojżesz, czyli dyptam jesionolistny. Nie mniej niebezpieczny jest również wawrzynek wilczełyko. Dyptam może poparzyć nawet z odległości kilkudziesięciu centymetrów. Wawrzynek używany był przez żebraćków do robienia odrażających i budzących współczucie bąbli na skórze, poprzez wcieranie kory. Pozornie jest zatem mniej niebezpieczny. Tymczasem jego piękne czerwone owoce, zupełnie niegroźne dla ptaków, mogą bez problemu zabić człowieka. Do zatrucia wystarczy jedna jagódka.

Przynajmniej jednak wiadomo, co to jest. Bo jeśli chodzi o świerzop z Inwokacji „Pana Tadeusza” – to wielu wybitnych językoznawców podsuwa różne kwiatki, jednak sprawa nie została do końca rozstrzygnięta. Z dzieciny też jest kłopot.

Ewa Dziadosz

TTIP jest **ambitne i innowacyjne**. Oczywiście ludzie wyrażają **obawy** dotyczące kwestii, które negocjujemy, oraz **sposobu** prowadzenia takich negocjacji.

Naszym zadaniem, jako negocjatorów, jest **zrozumienie** i uwzględnienie tych obaw.

Jesteśmy świadomi, że **najlepszy wynik**, taki który przyniesie korzyści jak największej liczbie Europejczyków, osiągniemy tylko wtedy, gdy na każdym etapie zapewnimy **uczestnictwo wszystkich** zainteresowanych stron.

To właśnie dlatego wraz z zespołem negocjacyjnym zobowiązałam się do **stuchania** i udzielania odpowiedzi oraz do zapewnienia jak największej **przejrzystości** naszych działań.

Dokładamy wszelkich starań, by przełożyć to zobowiązanie na **czyny**. Na przykład **publikujemy każdą propozycję**, którą składamy do rozpatrzenia naszym odpowiednikom w USA.

Dokumenty te można znaleźć na stronie <http://ec.europa.eu/trade/ttip-texts>.

Niestety powstały pewne **mit** o TTIP – twierdzenia, które po prostu nie są **prawdą**.

W tej broszurze wymieniono **dziesięć największych takich mitów** i opisano, jaka jest naprawdę **rzeczywistość**.

Mamy nadzieję, że pozwoli to na **oddzielenie faktów od fikcji** i wyrobienie sobie przez państwa własnych poglądów na temat TTIP.

Zarówno ja, jak i mój zespół chcemy je poznać. Proszę odwiedzić naszą stronę i **wyrazić swoją opinię** <http://ec.europa.eu/trade/policy/in-focus/ttip/have-your-say/>.

Czekamy na Państwa uwagi!

”

Cecilia Malmström
Komisarz UE ds. handlu
Kwiecień 2015 r.

Lubelskie czaruje smakiem

Szyneczka z karpia z Pustelni, ser z ziołami, oleje z Turzych Rogów, warzonka kryształówka, marchwiak z makiem, szarytka w marynacie... nie brzmi znajomo? A jeśli dodamy: pieróg gryczany, cebularz i forszmak lubelski? Nasz region nie od dziś budzi podziw koneserów kuchni, a znany smakosz i krytyk kulinarny Piotr Bikont twierdzi nawet, że Lubelszczyzna jest pod tym względem jedną z najciekawszych krain Polski.

Z pewnością wpływ na to miało położenie miasta – jednego z najstarszych w Polsce, położonego na pograniczu kulturowym wschodniego i zachodniego chrześcijaństwa, a także na ważnych szlakach handlowych, które istniały tu już we wczesnym średniowieczu. To sprawiło, że w społeczeństwo Lublina wtopili się Rusini, Niemcy, Żydzi, Ormianie, Turcy a także Francuzi, Szkoci, Grecy, Holendrzy i Anglicy. Dużą rolę w kulturowym krajobrazie Lublina odegrali także Włosi, których dawna obecność dziś widoczna jest szczególnie w wystroju architektonicznym kilku kościołów, zwłaszcza reprezentujących styl renesansu lubelskiego oraz barokowych.

Taka mieszanina narodów i kultur nie mogła nie wkroczyć także do regionalnej kuchni, w której mieszają się wpływy między innymi z Rosji, Ukrainy czy Litwy. Ale szczególnie duży wpływ miała kultura żydowska i tradycje kulinarne Żydów. Przez stulecia Lublin należał do najważniejszych miast w historii Żydów wschodnioeuropejskich. Mieszkało ich tu tak wielu, że miasto, zwane Jeruzolimą Królestwa Polskiego, było ważnym centrum żydowskiej nauki i kultury. I kuchni – to właśnie Żydom zawdzięczamy słynny lubelski forszmak i cebularz, wypiek tak charakterystyczny dla Lubelszczyzny, jak oscypek dla Podhala.

Ale wróćmy do współczesności, szyneczki z karpia, oleju z Turzych Rogów i innych specjalów zarejestrowanych na prowadzonej przez ministra rolnictwa Liście Produktów Tradycyj-



Lubelski finał NKD – marszałek Sławomir Sosnowski serwuje własnoręcznie przyrządzone policzki wołowe; fot. UMWL

nych. W rejestrze tym, obejmującym obecnie ponad 1,4 tys. polskich smakołyków o udokumentowanej, co najmniej 25-letniej tradycji wytwarzania i unikalnym procesie produkcji, województwo lubelskie jest trzecie, po podkarpackim i pomorskim, pod względem liczby zgłoszonych produktów. Kiedy zaglądaliśmy na listę pod koniec lipca (można ją znaleźć w internecie pod adresem www.minrol.gov.pl, w zakładce „Jakość żywności”), były tam już 152 propozycje z naszego regionu. – *Wpisanie na listę Ministerstwa Rolnictwa to wielka promocja dla produktów regionalnych* – zaznacza Dorota Sawa, prezes LGD Krasnystaw PLUS i Agencji Rozwoju Lokalnego – *Trzeba też pamiętać, że może to być przygotowaniem do promocji naszych specjalów także za granicą i sprawić, że zagoszczą one również na stołach w całej Unii Europejskiej*. Proszę jednak nie pomyśleć, że redakcja była niedokładna, kiedy zajrzą Państwo na stronę ministerstwa po tym, jak „Panorama” trafi

do Państwa rąk i znajdą na liście więcej pozycji – każdego dnia trafiają na nią kolejne regionalne frykasy.

Nic dziwnego. Do utworzonego w kwietniu wojewódzkiego oddziału Polskiej Izby Produktu Regionalnego i Lokalnego (PIPRiL) od razu zapisało się około 30 lubelskich producentów i zapowiada się, że wkrótce będzie ich znacznie więcej, bo działanie pod wspólnym szyldem pozwala dużym i małym wytwórcom na skuteczniejszą promocję swoich produktów, a przede wszystkim ułatwia zdobycie unijnego dofinansowania na wspólne przedsięwzięcia. W planach jest też m.in. zorganizowanie w Lublinie stałego, dużego targu produktów tradycyjnych oraz wytyczenie w regionie turystycznych szlaków kulinarnych.

A producentów regionalnej żywności na Lubelszczyźnie nie brakuje. Jak bogata jest kuchnia naszego regionu, niedowiadkowicie mogli przekonać się choćby podczas niedawnego lubelskiego finału ogólnopolskiego konkursu „Nasze Kulinarne Dziedzictwo – Smaki Regionów”, który w tym roku odbył się w zespole pałacowo-parkowym Muzeum Zamoyckich w Kozłowie. Impreza zapewne zapisze się trwale w pamięci członków komisji konkursowej, którzy do spróbowania mieli aż 150 próbek lokalnych wyrobów podzielonych na cztery podkategorie: zwierzęce, roślinne, napoje oraz inne (mieszane). Będą to chyba jednak miłe wspomnienia, bo jury przyznało 8 wyróżnień i 11 równorzędnych pierwszych miejsc. Impreza co roku skupia ok. 120-150

Liczba produktów tradycyjnych według województw (stan na dzień 29.07.2015); źródło: www.minrol.gov.pl



producentów, a pod względem liczby wystawców i mnogości wystawianych produktów województwo lubelskie bije na głowę wszystkie pozostałe.

Potwierdza to słowa Sławomira Struskiego, dyrektora Departamentu Rolnictwa i Środowiska w lubelskim urzędzie marszałkowskim. – *Producentów wspaniałej regionalnej żywności mamy naprawdę wielu – mówił podczas inauguracji lubelskiego oddziału PIPRiL. – Przekłada się to zarówno na wyjątkowość finałów konkursu NKD, jak i na liczbę zarejestrowanych specjalów na Liście Produktów Tradycyjnych. Jestem przekonany, że powstanie lubelskiego oddziału Izby realnie wspomaga naszych wytwórców i wypromuje ich markowe produkty, ale także – dzięki skojarzeniu tych smakowitości z regionem – przyczyni się do wykreowania nowych lubelskich produktów turystycznych.*

Polska Izba Produktu Regionalnego i Lokalnego to ogólnopolska organizacja zrzeszająca producentów żywności, która wspólnie z samorządami regionalnymi organizuje m.in. konkurs „Nasze Kulinarne Dziedzictwo – Smaki Regionów”. Jednym z najważniejszych zadań, jakie Izba przed sobą stawia, jest stworzenie „wspólnie z administracją rządową i samorządową polskiego systemu dla produktów tradycyjnych regionalnych i lokalnych na wzór krajów Unii”. Mogą na nią liczyć na przykład producenci tradycyjnie wędzonych wędlin w swojej walce o zawieszeniu unijnego zakazu produkcji i sprzedaży produktów, w których przekroczone zostaną nowe limity obecności węglowodorów wielopięścieniowych.

Prezesem nowego oddziału PIPRiL została Elżbieta Wójcik, a wiceprezesami i jednocześnie członkami Zarządu: Tomasz Solis i Grzegorz Polak. W Radzie Oddziału zasiedli: Dorota Sawa na stanowisku przewodniczącej oraz Tomasz Machoń (wiceprzewodniczący), Zofia Popławska (sekretarz), Adam Drozd i Marek Jurycki.

Joanna Gierak

Z dziedzictwa kulinarnego regionu...

Nowa przewodnicząca Rady lubelskiego oddziału PIPRiL Dorota Sawa znakomicie gotuje sama, ale jak każdy dobry szef, potrafi także pracować w zespole. Zgodziła się podzielić z Czytelnikami „Panoramy” przepisem na **pierogi z bobem**, który zdradziły jej Panie z Koła Gospodyń Wiejskich Dobryniów nad Wieprzem. Oczywiście pierogi zostały zgłoszone na Listę Produktów Tradycyjnych.

Jestem zdania, że powinniśmy piełgnować i promować nasze dziedzictwo, także kulinarne. W swojej kuchni korzystam z wielu przepisów mamy, chętnie sięgam także do tradycyjnych przepisów gospodyń z naszego regionu. Pierogi to tradycyjna potrawa naszego regionu od wielu wieków, aż po dzień dzisiejszy przygotowywana przez gospodynie domowe na co dzień i od święta. Sztuka ich lepienia jest przekazywana z pokolenia na pokolenie, a jej początków już nikt nie pamięta. W obecnych czasach, kiedy wszystkie produkty gotowe są dostępne w sklepach, pierogi Pań z Koła Gospodyń Wiejskich Dobryniów nad Wieprzem są wytwarzane zgodnie ze starą recepturą, z naturalnych, lokalnych składników pochodzących z własnej produkcji lub od miejscowych rolników. Dzięki temu jest to potrawa tania w przygotowaniu, co było bardzo ważne w czasach gdy panowała bieda i nie było co jeść, a nasi przodkowie żywili się tylko tym, co sami wyhodowali.

Spośród wielu gatunków pierogów szczególnym uznaniem w Dobryniowie cieszą się pierogi z bobem. Bób jest rośliną, którą możemy znaleźć w każdym przydomowym ogrodzie warzywnym od niepamiętnych czasów. Jest w dodatku bardzo łatwy do przechowywania i dzięki temu dostępny przez cały rok. Charakteryzuje się wysokimi wartościami odżywczymi

przy stosunkowo niskiej zawartości kalorii. Znaczna zawartość błonnika pokarmowego i niska zawartość tłuszczu sprawia zaś, że chętnie stosują go osoby ceniące zdrowe odżywianie.

Kolejnym ważnym składnikiem nadzienia pierogów jest mięso wieprzowe pochodzące głównie z własnej hodowli. Tradycja hodowli świń przeznaczonych do uboju w gospodarstwie ma w naszym regionie wielowiekową tradycję. Cebula i mąka na ciasto to również wyprodukowane lokalnie płody rolne, używane w tu-tejszej kuchni od pokoleń.



Oprócz bobu i mięsa do naszych pierogów potrzebne są jeszcze: mąka, jajko i woda (na ciasto) oraz podgardle, cebula, tłuszcz i sól.

Bób trzeba opłukać, zalać wodą i pozostawić tak na kilka godzin; namoczony ugotować w osolonej wodzie i odcedzić. Mięso i podgardle ugotować, cebulę zeszklić na tłuszczu. Zmieszać wszystkie składniki, wymieszać i doprawić do smaku solą i pieprzem. Zagnieść ciasto, rozwałkować je i wykrawać krążki. Na każdy krążek nałożyć farsz, pozlepić pierogi. Pokroić słoninę i wytopić na skwarce, dodać pokrojoną w kostkę cebulę i przyrumienić.

Pierogi ugotowane we wrzącej, osolonej wodzie wyjąć łyżką cedzakową, polać tłuszczem ze skwarkami i cebulką.

Smacznego!



Członkowie nowo powołanego oddziału Polskiej Izby Produktu Regionalnego i Lokalnego w Lublinie; fot. Mateusz Mysiak / lubelskie.pl



Po co nam książki?

Liczba zdjęć celebrytów na okładkach książek, jako literackich bohaterów lub autorów, znacznie przewyższa liczbę zdjęć celebrytów czytających książki. O ustępującym prezydencie mówiło się wiele, ale najmniej o tym, że zainicjował akcję „Narodowe Czytanie”. I chociaż rośnie liczba akcji promujących czytelnictwo, przychody wydawców spadają: z blisko 3 mln zł w roku 2008 do ok 2,5 mln obecnie. Liczba księgarń zmniejszyła się o połowę w ostatnich 20 latach, a w ostatnich 5 – o 700, do 1850. Polacy książek nie kupują: średnia w Europie to 25 nowych książek na 100 mieszkańców, u nas – 7.

Po co nam w ogóle książki? Czytamy literaturę, aby zaspokoić potrzeby z górnej części piramidy Abrahama Masłowa: przynależności do grupy wykształconej na podobnych lekturach, umożliwiając porównywanie się podobnymi pojęciami. Tym samym zaspokajamy potrzebę szacunku, przynajmniej w grupie

czytających podobne dzieła. Na koniec – chociaż to może najważniejsze – czytanie umożliwia zaspokajanie potrzeby samorealizacji.

„Polska” wydana w roku 2014 przez Wydawnictwo Kluszczyński ma 80 stron. Na każdej stronie jeden zabytek: opis i 2-3 fotografie. W supermarkecie kosztuje pięć złotych, o połowę taniej, niż całkiem świeże powieści Pilcha, czy Głowackiego. „Tanie czytanie”, akcja prowadzona w „Biedronce”, nie jest jedyną „promocją czytelnictwa” w supermarketach. Pół dnia można spędzić grzebiąc w książkach oferowanych w Media Markcie, a w Lidlu wystarczy kupować, żeby dostać opasłe tomszycze z przepisami kulinarnymi.

Powinniśmy się cieszyć, że książki są szeroko dostępne i promowane. Niemniej w ocenie Polskiej Izby Książki te działania prowadzą do upadku księgarń i wydawnictw. Rynek księgarski niszczy też wprowadzenie darmowych podręczników – w opinii specjalistów branżę czekają zwolnienia pracowników i bankructwa. W Internecie (gdzie można znaleźć mnóstwo tanich lub darmowych e-booków) promowany jest projekt „Ustawy o książce”. Jest inicjatywą środowisk związanych z rynkiem książki, których wspólną intencją jest wspieranie kultury i wzięcie w obronę jednego z jej symboli – książek. Ustawa zakłada wprowadzenie jednolitej ceny na wszystkie nowości wydawnicze. Stała cena miałaby obowiązywać przez

12 miesięcy od momentu wprowadzenia danej pozycji na rynek.

Wydawcy ratują się jak mogą, szukając nowych kanałów dystrybucji. Starają się dotrzeć do bibliotek szkolnych i publicznych z konkretnymi narzędziami, które zachęcą do czytania, a później – zakupu książek. Jak wynika z Raportu Fundacji Rozwoju Społeczeństwa Informacyjnego, biblioteki w bardzo krótkim czasie pokonały długą drogę. Dzięki rozszerzeniu swoich funkcji stają się lokalnymi centrami rozwoju kapitału społecznego, łącząc działania z obszaru kultury, edukacji, wspierając aktywność ludzi i ich zaangażowanie w sprawy społeczności, w której żyją. Choć liczba bibliotek spada, rośnie liczba ich zarejestrowanych użytkowników, którzy mogą tu korzystać z komputerów, Internetu i drukarek, umożliwiających komunikowanie się z bliskimi za granicą, płacenie rachunków, e-learning. Bibliotekarki prześcigają się w pomysłach aktywizacji swoich środowisk, co łatwo zauważyć przeglądając ich ofertę w podlubelskich gminach. Biblioteka w Jastkowie prowadzi konkurs poświęcony 100-leciu bitwy stoczonej tu przez legionistów Piłsudskiego, w którym nagrodą są książki. W innych bibliotekach wystarczy być, nawet niekoniecznie dla przyjemności czytania.

Świat się zmienia – archaiczne formy przekazu odeszły do archiwów:

Zmień swój wizerunek z Kopciuszkiem
wakacyjne warsztaty fryzjerskie, kosmetyczne i kulinarne

Przyjdź i sprawdź!
Jak możesz zmienić siebie!
Przeżyj z nami wakacyjną metamorfozę!

Czekamy właśnie na Ciebie w bibliotece w Starej Wsi
w wakacyjne płatki: od 31 lipca do 28 sierpnia 2015 r.



W programie:
Spotkania z wizażystką i fryzjerką;
Papierowy design, projektowanie makijażu, stroju...
Pokaz mody i sesje fotograficzne
Warsztaty kulinarne „Dla ducha i ciała”

Dla każdego dyplom ukończenia warsztatów i wiele niespodzianek...



gliniane tabliczki, kamienne tablice, supełki na sznurkach, tusz na jedwabiu, inkaust na welinie, hieroglify na papirusie, ruchoma czcionka, manuskrypty, inkunabuły, linotyp... Do lamusa trafiły wypowiedzi szacownych profesorów, ostrzegających przed książkami w wersji elektronicznej. Niemniej zdaniem wydawców bezpłatny e-podręcznik, zlecony przez Ministerstwo Edukacji Narodowej, to nie jest rozwiązanie wolnorynkowe i tylko zepsuje rynek, a szanse na to, że znajdzie dla siebie na nim miejsce, są małe. Wszak uczniów jest coraz mniej, a niż demograficzny musi jeszcze przejść z podstawówek do gimnazjum i liceum.

Zmiany przerażają. Pytanie, czy powinien być darmowy podręcznik odbierający dochód wydawcom, jest pytaniem źle postawionym. Należałoby raczej zapytać, dlaczego podręczniki są obowiązkowe? Dlaczego uczeń dostaje jedynekę lub ma obniżane sprawowanie za brak podręcznika? Nie mówi się, że fundamentem szkoły są podręczniki, ale że szkoła nauczycielem stoi. I że nauczyciela obowiązuje realizacja podstawy programowej, przygotowanie do zdawania egzaminów, a przede wszystkim pomoc w zdobywaniu przydatnych umiejętności.

Teraz w sieci są Wolne Lektury, Wolne Podręczniki i cyfrowe zbiory literatury. Można żyć bez Elementarza Falskiego? To może nauczyciel wybrać teksty i ćwiczenia z sieci? Może wyświetlić na tablicy dla całej klasy, a potem wysłać pocztą elektroniczną jako pracę domową. Może wydrukować i powielić. Uczeń może je wpiąć do skoroszytu. Wystarczy trochę odwagi, aby zamiast ciężkich torstrów wybrać zasoby edukacyjne

i podręczniki dostępne w Internecie na wolnej licencji.

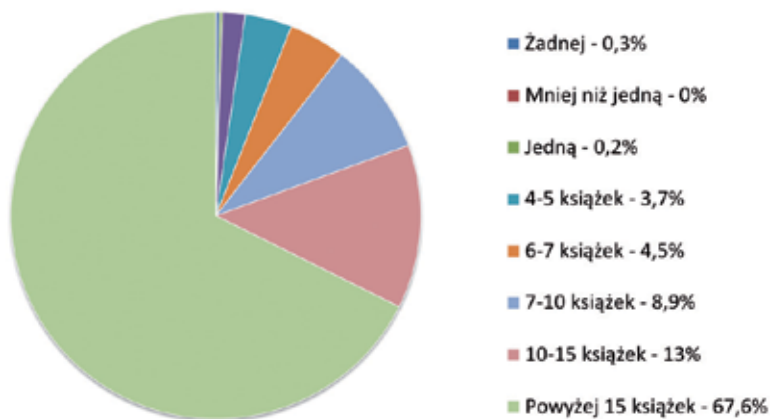
Polska Izba Książki publikuje na swoim portalu „Raport z badania czytelnictwa książek i ebooków”. Piotr Zimolzak wyjaśnia, że jego główna problematyka skupiona była na zbadaniu stylów czytelnictwa wśród osób korzystających regularnie zarówno z wersji papierowych, jak i elektronicznych. Prawie 5-tysięczna próba respondentów, którzy wzięli udział w badaniu, to grupa użytkowników Internetu, osób dobrze wykształconych, mieszkańców większych miast. To również osoby, które mają regularny kontakt z książką – 94 proc. badanych przeczytało co najmniej 6 pozycji w ubiegłym roku.

Książka to dobry towarzysz na koniec dnia – 8/10 czytelników przyznaje, że sięga po nią wieczorem lub w nocy. Z drugiej strony potrafimy czytać w każdej wolnej chwili, będąc w ruchu, dostosowując się do tempa codziennego dnia. Nie mamy problemu z koncentracją w miejscach publicz-



zwolenników wersji papierowych? Nie jest łatwo – 40 proc. z nich twierdzi, że nie jest w stanie ich przekonać. W przypadku pozostałych można jednak próbować grać niższą ceną. Koniec ery papieru to zdaniem czytelników jeszcze pieśń przyszłości. Zdygitalizo-

Ile książek przeczytałaś/eś w ciągu ostatniego roku?



Polska Izba Książki, „Raport z badania czytelnictwa książek i ebooków”, listopad 2014

nych. Lubimy planować nasze obecne i przyszłe czytelnictwo. Mamy swoją listę lektur, które chcemy przeczytać. Najczęściej można na niej znaleźć pozycje z gatunku fantastyki, kryminału, sensacji lub horroru.

W badaniu widać rosnącą popularność e-booków, jednak to książki papierowe stanowią dominującą formę nośnika tekstu. Przede wszystkim chodzi o sentyment do wersji papierowej, rozumiany jako specyficzny zapach i faktura papieru oraz specyficzne uczucie „posiadania” książki. Drugi czynnik to możliwość łatwiejszej koncentracji podczas lektury oraz brak uczucia zmęczenia wzroku. W jaki sposób zachęcić do e-booków zdecydowanych

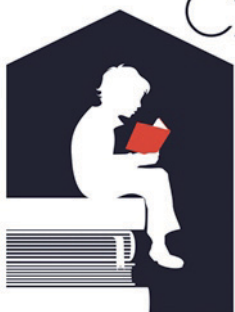
wanym dziełom wciąż można przypisać zgubne skutki, na przykład zdrowotne. Tak jednak było zawsze: rylce do glinianych tabliczek i dłuta do tablic kamiennych kaleczyły dłonie. W ogóle księgi, jak pamiętamy z „Imienia róży”, bywają zatrute. Charles Chaplin zauważył zaś, że najmańdrzejszy naród na świecie to niewątpliwie Chińczycy. Wynaleźli druk – ale nie gazety, proch – ale tylko do sztucznych ogni, wynaleźli wreszcie kompas – ale powstrzymali się przed odkryciem Ameryki.

Doskonale jednak przystosowali swoje trudne pismo do ekranów dotykowych i cyfrowych czytników. I nie narzekają – czytają i uczą się.

Ewa Dziadosz

Z głębokim żalem żegnamy nasz ukochany
S.P.
Państwowy Instytut Wydawniczy
w chwili śmierci miał 69 lat
AUTORZY, CZYTELNICY, KSIĄŻKI

Czytam
sobie
w bibliotece



Lato nad Jeziorem Białym

Jest jedną z najmniejszych miejscowości w województwie lubelskim, ale bywa niekiedy najludniejszym miejscem w całym regionie. Do Okuninki nad Jezioro Białe przybywają latem tłumy turystów. Szczególnie tłoczno jest w weekendy.



– Deficyt wolnych miejsc do parkowania, brak płynności ruchu wokół jeziora to zhora dla przyjezdnych, a zadanie dla samorządowców. Dla tego problemem nie jest nieprzestrzeganie ciszy nocnej czy brak szaletów, ale infrastruktura – mówi Marta Wawryszak z Urzędu Gminy Włodawa. – Infrastruktura jest naszym priorytetem, w następnym roku chcielibyśmy ułatwić życie turystom i wybudować

chodnik wokół Białego. Co cieszy, to rozwiązanie dojazdu szynobusem. Od tego roku uruchomiliśmy nowy przystanek wakacyjnego szynobusu na trasie Włodawa – Chełm. Mam na myśli znajdującą się blisko jeziora stację „Okuninka-Białe”. Szynobus z Chełma do Orchówka będzie jeździł w soboty i niedziele dwa razy dziennie: rano i popołudniu. Ponowne uruchomienie szynobusu to efekt współpracy

samorządów z Urzędem Marszałkowskim. O to wakacyjne połączenie zabiegali starostowie chełmski i włodawski, prezydent Chełma oraz wójtowie gmin: Chełm, Kamień, Wola Uhruska, Ruda Huta i Włodawa. Pociągi będą kursowały do 4 października, a 45-kilometrową trasę pokonają w niecałą godzinę. Dla turystów ważne jest to, że szynobus przejeżdża przez tereny leśne oraz fakt, że można zabrać ze sobą rower.



Jezioro Białe jest perłą gminy Włodawa, która może poszczycić się pięknem przyrody poleskiej oraz zabawkami. Leżące w granicach gminy Sobiborski Park Krajobrazowy i Poleski Obszar Chronionego Krajobrazu, wraz z otaczającymi je torfowiskami, decydują o niezwyklej wartości tego obszaru. W odległym o 7 km od miasta Włodawa Jeziorze Białym, na najbardziej nasłonecznionym obszarze Polski, czeka przejrzysta woda o pierwszej klasie czystości. Wartość promieniowania słonecznego dochodzi tu do 1200 kWh/m kw. rocznie. Dla porównania, nad morzem to jedynie 1000 kWh/m kw. na rok. Do tego wysoki współczynnik „dźwiękoszczelności” okolicy jeziora, szczególnie we wschodniej i południowej jego części, jest gwarancją dobrego odpoczynku. Niestety jezioro jest dość ciemne i nurkując głębiej trzeba mieć ze sobą latarkę. W toni spotkać możemy szczupaki, sandacze i węgorze. Często spotykane są płocie, liny, karasie i sumiki karłowate. Na szczególną uwagę zasługuje występująca tu sielawa i sieja. Prawdziwie podwodne lasy tworzy wywłócznik, z dna wyrastają liściaste ramiona rdestnicy kędzierzawej. Łagodne zbocza porasta moczarka kanadyjska. Miłośnicy nurkowania mogą zajrzeć do baz nurkowych, działa również klub żeglarski. Bardzo bogata jest baza noclegowa. Dostyć dobrym poziomem mogą pochwalić się ośrodki:



Rusalka i Bankowy. Obydwa posiadają bezpośredni dostęp do wody z własnymi plażami i pomostami. Raczej średnim komfortem, ale za to niewysokimi cenami kuszą ośrodki: Lubelskich Hut Szkła oraz Cukrowni „Krasnystaw”.

Dzięki turystom kwitnie handel, zarabiają właściciele barów, straganów, łodziarni, sklepów, wypożyczalni sprzętu wodnego. W ośrodkach



wypoczynkowych można spotkać nowoczesne rozwiązania, które mają na celu zapewnienie wygody i komfortu. Wszyscy przywykli do tego, że trudno tu o ciszę, nawet tę nocną. W ubiegłym sezonie do jednego z głośnych barów tylko do początku sierpnia policję wzywano aż 64 razy. Funkcjonariusze nie nadążali z interwencjami. Od tego sezonu w Okunince miano ograniczyć czas funkcjonowania instalacji i korzystania z tych urządzeń, z których hałas może negatywnie oddziaływać na środowisko. Jednak interes przedsiębiorców wziął górę. Bez przeszkód więc odbywają się tu co roku takie imprezy jak Festiwal Piosenki Dziecięcej i Młodzieżowej czy Weekend z Krokodylem.

Osoby, które wolą ciszę i spokój, zapewne znajdą miejsce w rozwijających się gospodarstwach agroturystycznych, oddalonych od Jeziora Białego, np. w Orchówku czy Szumince.

Na temat ośrodków wczasowych, interesujących miejsc w regionie, a także kalendarza okolicznych imprez można dowiedzieć się w funkcjonującym od 2014 roku punkcie informacji turystycznej, który jest czynny od poniedziałku do piątku w godzinach od 9 do 16, a w piątki do 17.



Przez Okuninkę przebiega szlak rowerowy Green Velo. Szlak biegnie równolegle do drogi 812 w kierunku Chelma do skrzyżowania przed miejscowością Żłobek, mija hitlerowski obóz zagłady w Sobiborze, potem przebiega drogą asfaltową przez Żłobek, Sobiborski Park Krajobrazowy i Sobibór Stację, a następnie przez las drogą gruntową do drogi nr 816 tzw. „nadbużanki”.

Joanna Szubstarska





„Świat na głowie w Sulejowie” Program imprezy:



Sobota (12.09.2015)

- 8:00** - rozpoczęcie pracy biura zawodów: podpisywanie oświadczeń, opłaty startowe, odbiór pakietów startowych
- 9:00** - oficjalne rozpoczęcie imprezy „Trzymaj formę ponad normę”
- 10:00** - start Maratonu Rowerowego 50 km
- 10:30** - start Ultramaratonu Biegowego 50 km
- 11:00** - start Biegu 10 km
- 13:00** - dekoracja zwycięzców Biegu 10 km
- 14:00** - dekoracja zwycięzców Maratonu Rowerowego 50 km
- 16:30** - dekoracja zwycięzców Ultramaratonu Biegowego 50 km
- 18:00** - koniec limitu czasowego dla uczestników Ultramaratonu Biegowego 50 km
- 10:30 – 14:00** „Sulejowskie „Zenolianki” z Gwiazdami” VIP SPINNING czyli sportowe zawody w łowieniu ryb z m.in. Olgą Borys, Sylwią Wysocką, Elżbietą Jędrzejewską, Wojciechem Majchrakiem, Janem Monczką, Bartoszem Żukowskim, Mirosławem Jękotem i Maciejem Kowalewskim. /„Zenolianki” od patrona wędkarzy św. Zenona z Werony/
- 14:00 - 14:30** - ważenie ryb
- 14:30 - 15:00** - zakończenie przy grilu
- Podczas całego dnia towarzyszące imprezy sportowe: fitness nad zalewem, loty paralotnią, jazda konna, wyścigi kładowymi i wiele innych aktywności sportowych.**
- 20:30- 22:00** - Wystąpienie Władz Miasta.
„Gwiazdy na Podklesztorzu”- pokazy mody w byłym opactwie cystersów z XII wieku znanych projektantów z udziałem: Olgi Borys, Olgi Bończyk, Sylwii Wysockiej, Ewy Pacuły, Elżbiety Jędrzejewskiej, Doroty Głowackiej Lesień, Ewy Zelt, Wojciecha Majchraka, Jana Monczki, Mirosława Jękota, Bartosza Żukowskiego i Macieja Kowalewskiego.
Wręczenie nagród aktorom za uczestnictwo w VIP Spinning; Recital Olgi Bończyk
„Pokaz Baniek Mydlanych”- w oprawie świetlna-muzycznej
- 22:00** - zakończenie

UDZIAŁ W EVENCIE JEST BEZPŁATNY

Marzenia spełnione i niespełnione

Rozmowa z Marianem i Krystyną Josiczami, artystami lubelskiej operetki i Teatru Muzycznego w Lublinie.

Redakcja: Niedawno obchodziliśmy benefis 60-lecia Pańskiej pracy scenicznej, a „Pieśniarz lubelskich scen” Ryszard Zarewicz twierdzi, że zaśpiewa Pan także na stulecie teatru. Jak to się robi?

Marian Josicz: Krysia stale mi to wypomina. Ja po prostu nie potrafię odmówić, kiedy ktoś mnie o coś poprosi. Czasami mam chęć podziękować, ale w końcu biorę swój kostium i idę, chyba że mnie choroba zmoże. Jubileusz też już przecież miałem, z okazji 50-lecia pracy, ale jeśli się nic nie powiedziało, trzeba było zrobić (śmiech).

Na emeryturę poszedłem w wieku 50 lat, ale później Teatr Muzyczny wystawił „Noc w Wenecji”. Potrzebowali aktora śpiewającego, więc zadzwonili do mnie. W ten sposób wróciłem do teatru. Ale gdybym zaczął się gubić, zapominać tekstu, nigdy nie wyszedłbym na scenę.

Zespół „Warszawa” Tadeusza i Miry Sygietyńskich, Opera Warszawska, miał Pan nawet możliwość pracy w znakomitym w tamtym czasie krakowskim Teatrze im. J. Słowackiego... Jak to się stało, że wybrali Państwo Lublin?

Krystyna Jarmułówna-Josicz: Chodziło głównie o względy rodzinne. Tutejszy teatr nas chciał, tu mieliśmy mieszkanie i bardzo nam pomagała mama Mariana, zwłaszcza kiedy po czterech miesiącach od urodzenia dziecka wróciłam po pracy. Największy kłopot był, kiedy wyjeżdżaliśmy ze spektaklem do innych miast. Najczęściej trwało to dwa tygodnie. Marian przeważnie grał sam, ale ja umawiałam się ze zmienniczkami, że na tydzień jechałam ja, a na drugi koleżanka.

M.J.: Dyrektor Chmielarczyk powiedział kiedyś: „Jarmułówna to jest worek złota w tym teatrze”. Jakoś sobie radziliśmy, choć czasem odbierałem syna ze szkoły w kostiumie, prosto z próby. Tylko się modliłem, żeby nie mieć awarii albo żeby mnie milicja nie zatrzymała (śmiech).

Rzeczywiście po rozwiązaniu zespołu „Warszawa” dostałem się do Opery Warszawskiej (dziś Teatr Wielki – Opera Narodowa – red.), gdzie występowałem obok największych ówczesnych artystów. W 1966 roku, będąc



Marian i Krystyna Josiczowie podczas benefisu 60-lecia pracy artystycznej M. Josicza

w Lublinie, na Krakowskim Przedmieściu spotkałem Barbarę Kostrzewską (śpiewaczka, reżyser, dyrektor artystyczna Teatru Muzycznego w latach 1959-66 – red.). Znałem ją z Warszawy, gdzie razem występowaliśmy w „Cyruliku sewilskim”. Akurat operetka przygotowywała komedię muzyczną na Dni Lublina. Dyrektor Kostrzewska zaprosiła mnie na próbę, a tam ni z tego ni z owego mówi: „Przyjechał do nas mój kolega, coś nam zaśpiewa”. Skończyło się tak, że podczas Dni Lublina zagrałem pierwszą premierę.

Kostrzewska miała tak wielką siłę przekonywania, że nie skorzystałem nawet z zaproszenia samego Bronisława Dąbrowskiego do Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, wtedy jednego z najlepszych teatrów w Polsce. Miałem wtedy niecałe trzydzieści lat. Może szkoda... Może dostałbym się do Warszawy i zrobił coś więcej niż w Lublinie... Choć gościnnie grałem chyba we wszystkich teatrach muzycznych w Polsce. Ale z największym sentymentem wspominam Operę Warszawską, tam powinienem zostać. Naturalnie, kiedy ma się dwadzieścia kilka lat, to jeszcze za wcześnie na duże operowe role, trudno się mierzyć z kimś takim jak Andrzej Hiolski. Ale do tej pory, kiedy oglądam przedstawienia operowe, wspominam, że kiedyś grałem w nim jakąś rolę. Niespełnione marzenia...

Ale przecież w Lublinie, a szczególnie w Teatrze Muzycznym, jest Pan bardzo ważną osobą. Młodzi koledzy bardzo Pana cenią.

M.J.: To prawda, spotykam się z sympatycznym przyjęciem. Może oni to robią ze względu na mój wiek?

O nie. Z tego, co wiem, to wiele korzystają na Pana obecności w teatrze.

M.J.: Staram się pomóc młodszym kolegom, jeżeli zechcą z tego skorzystać. Kiedy zdecydowałem, że nie będę już grał Tewiego w „Skrzypku na dachu”, koledzy, którzy zaczęli się tej roli uczyć (Grzegorz Szostak i Marcin Żychowski – red.), poprosili mnie o pomoc. Nie zmuszałem ich, żeby grali jak ja, bo to byłoby nie w porządku, ale podpowiadałem, jak tę postać poprowadzić.

A nie jest wcale łatwo zagrać Żyda, trzeba oddać jego kulturę, wnętrze. Nie wystarczy tylko naśladować mowy, z tym charakterystycznym zaśpiewem, bo łatwo można popaść w parodię. Prawdę mówiąc, trochę obawiałem się na początku tej roli. Wszystkie teatry w Polsce już wystawiły „Skrzypka na dachu”, był także film (w reż. Normana Jewisona – red.) ze znakomitą rolą Topola, której moim zdaniem nikt nie powinien nawet próbować naśladować. W budowaniu mojej roli bardzo dużo pomógł reżyser Zbigniew Czerski – na próby przyprawdzał nawet rabina.

Przygotowywaliśmy się około pół roku, ale po ponad 300 przedstawieniach można chyba powiedzieć, że się udało.

Tewie ze „Skrzypka na dachu” to Pana ostatnia duża rola, ale przecież nie jedyna. Samych ról pierwszoplanowych było ponad sto. Które wspomina Pan ze szczególnym sentymentem?

M.J.: Mógłbym bardzo długo wymienić. Było ich tyle, że niektórych już nawet nie pamiętam. Prawdę mówiąc, za rolami typowo „amantowskimi” nie przepadam. Bo cóż – amant musiał być przystojny, uśmiechnąć się, coś tam ładnie zaśpiewać i tyle. Zawsze wołałem te charakterystyczne, w które trzeba było włożyć dużo serca i ciepła – to mnie pasjonowało. Pełnokrwiste role, prawdziwie aktorskie. Na przykład grałem kiedyś dziadka mojej żony w „Tam, gdzie skowronek śpiewa”. A nie byłem wtedy taki stary, musiałem sobie sprawić perukę, nauczyć się odpowiednich gestów, „przestroić wnętrze”. Nie wystarczyło wyszczerzyć zęby i śpiewać „Ja cię kocham” (śmiech).

Lubię też role komiczne, jak księżę Leopold, którego gram w „Księżniczce Czardasza” – postać nieco przerysowaną, trochę jakaś; taka prawdziwie komediowa rola.

A największe wyzwania?

M.J.: Pod tym względem najlepiej pamiętam pierwszą rolę Petruccia w „Kiss me Kate”, gdzie grałem na zmianę z Witoldem Kałuskim. Byłem wtedy mało doświadczonym aktorem, takim „rezerwowym”, miałem za sobą niewiele prób, a tu nagle dzwoni dyrektor Kostrzewska, że Kałuski zaniemógł i mam zagrać. Rola – kobyła i w dodatku trzeba umieć strzelać z bata. Ale jak Kostrzewska się uparła, nie było siły. Nie spałem chyba do piątej rano. Zagrałem, ale ile mnie ta rola kosztowała! Do tej pory pamiętam.

KJ-J: Podobnie było w Łodzi, kiedy próbowaliśmy „Kariery Nikode-

ma Dyzmy”. Tak się poznaliśmy. Od nas było dwóch aktorów: śpiewający i dramatyczny. Zaczynają się próby muzyczne, tuż przed premierą, a aktor z teatru dramatycznego kompletnie nie może się zgrać z orkiestrą. Zrezygnował i kilka dni przed premierą zadzwonili po Mariana. Zaawansowane próby, inny zespół, ludzie, sytuacje – wszystko to musiał opanować.

M.J.: Reżyser, Jan Perz, zaczął mnie ukierunkowywać tak, jak miał zagrać tamten aktor. Więc mówię do niego: „Niech pan zostawi mi rolę, zagram to tak, jak grałem w Lublinie, bo nie mamy czasu”. Zgodził się i zagrałem.

Było kilka przygód... Na próbie generalnej do „Kariery Nikodema Dyzmy” w Lublinie miałem wypadek i złamałem rękę. Przed premierą lekarze rozcięli mi gips, włożyłem frak i... starałem się podawać lewą rękę, bo w spektaklu było dużo powitań. Ale wszyscy odruchowo łapali za złamaną, a ja od razu byłem cały mokry. Premierę zagrałem, ale potem spektakl zdjęto z afisza do czasu, aż mi się ręka zagoiła.

Do tej pory mam pamiętkę po „My Fair Lady”. Dla mnie najgorsze w teatrze było ubrać się i zrobić ewolucję, czyli tak zwane „kroczi”. Kiedy robiłem po raz pierwszy „My Fair Lady”, reżyserowała i przygotowywała choreografię Stanisława Stanisławski. Ćwicziliśmy właśnie te „kroczi” i już zacząłem się na nie denerwować. Wtedy ona, chcąc mi coś szybko wytłumaczyć, złapała mnie za rękę... i złamała palec. Do dziś jest krzywy (śmiech).

Dużym wyzwaniem była też rola Horodniczego w „Rewizorze”. Prawie się pobiliśmy z dyr. Chmielarczykiem (Andrzej Chmielarczyk – aktor i reżyser, w latach 1969-2001 dyrektor Teatru Muzycznego w Lublinie – red.), bo byłem już u kresu wytrzymałości nerwowej. Wsiadł mi wtedy kregosłup, a reżyser wymyślił sobie, że rzucam jakieś pismo na podłogę i je podnoszę. Mówię: „Nie podniosę, bo nie mogę się nachylić”. Ja się ledwo ruszam, a tu

ważne, czy ja pismo podniosę! Takie historie najbardziej mnie denerwowały.

Dobry reżyser powinien umieć znaleźć klucz do każdego aktora. Nie może bezzwzględnie narzucać swojej koncepcji, powinien znaleźć nić porozumienia, wysłuchać moich propozycji, a nie zbijać mnie z tropu. W Gdyni przygotowywałem się do „Pana Zagłoby”, miałem grać Skrzetuskiego. Nie byłem zadowolony, bo wołałem Bohuna. Reżyser Danuta Baduszkowa (właśc. Karolina Dostalikówna, twórczyni i wieloletnia dyrektor Teatru Muzycznego w Gdyni – red.) na pierwszej próbie mówi do mnie: „Idź do domu, bo to, co robisz, jest do niczego. Wróć przygotowany”. Na następnej to samo. Wkurzyłem się, nie spałem do północy, ale na trzeciej próbie już była zadowolona. Taki miała zwyczaj. To była apodyktyczna kobieta, potrafiła doprowadzić artystki do płaczu, ale wiedziała, czego chce.

A Panu zdarzało się doprowadzać partnerki do łez? Podczas benefisu Krystyna Sztyłowska opowiadała, jak ją Pan „wkreślił” w czasie przedstawienia...

M.J.: Aktorzy często robią sobie takie psikusy, a czasami komiczne sytuacje i zdarzają się same z siebie. Śpiewaliśmy w Łodzi duet z Krysią, potem miałem wziąć ją na ręce i zanieść na fotel. Podniosłem ją, niosę... ale przydepchałem tren i czuję, że tracę równowagę. Za chwilę wrzucę żonę do kanału do orkiestry! Wpuściłem ją z rąk, a w tym wszystkim jeszcze dokończyłem tekst.

KJ-J: Czułam, że on mi wchodzi na ten tren i że zanoszi się na katastrofę. Ja miałam dobrze, bo już schodziłam ze sceny. Pokuśtykałam, a za kulisami ludzie pękali ze śmiechu. To niebezpieczna sytuacja, bo jeśli aktor występujący na scenie zarazi się takim śmiechem, bardzo trudno jest się opanować.

M.J.: Kiedy indziej z Eleonorą Krzezińską graliśmy w „Czardasze”. Kupiłem wtedy samochód i w czasie przerwy poszliśmy z kolegami go oglądać. Nawet

Słynne aktorskie kreacje Mariana Josicza: z Wandą Mikulską – „Kaper Królewski” (1974); Dziad – „Szopka” (1991); z Niną Majerską – „Wesoła Wdówka” (1968); z żoną Krystyną Jarmułówną-Josicz w „Hrabim Luxemburgu” (1975)



nie wiedziałem, kiedy zaczęli następny akt. Eleonora weszła na scenę i czeka na mnie. Mieliliśmy śpiewać duet, a mnie nie ma. Co ona tam naopowiadała na tej scenie zanim wpadłem! W tym względzie była wielkim oryginałem. Kiedy się pomyliła podczas spektaklu, zaczynała snuć opowieści – wszystko, co tylko przyszło jej do głowy.

A jeśli chodzi o „wpadki” z zapominaniem tekstu: graliśmy operetkę „Sewastopolski walc”, śpiewałem piosenkę marynarza. Zaśpiewałem pierwszą zwrotkę i czuję, że nie mam pojęcia, jak zacząć drugą. Przesuwam się do suflera. Jadzia Górską, suflerkę, powinna wiedzieć, że jeśli do niej podchodzę, to coś jest nie tak. Ale patrzę, a ona robi na drutach. Na szczęście w ostatniej chwili „klapka” mi się otworzyła. Po przedstawieniu podchodzę do niej z pretensjami, a ona na to: „Marian, bo wszyscy się przyzwyczailiśmy, że ty się nigdy nie mylisz”.

Jak na przestrzeni tych 60 lat zmieniła się praca w teatrze?

M.J.: Nie ma żadnego porównania. Wtedy była wspaniała atmosfera, niepowtarzalna. Nieraz było tak, że o drugiej, trzeciej w nocy jeszcze próbowaliśmy, dyrektor Kostrzewska rozwodziła nas taksówkami albo namawiała, żebyśmy do domów zasuwali na piechotę. A o 10 rano następna próba. Teraz każdy w czasie prób patrzy na zegarek. Urlop mieliśmy dopiero po 22 lipca, bo wtedy jeszcze obchodziło się to święto.

KJ-J: A grało się codziennie, oprócz poniedziałków. Były takie sytuacje, jeśli

nie było dublera, że trzeba było grać nawet, kiedy było się chorym.

M.J.: Po setnym przedstawieniu jechaliśmy „w teren”. Grało się po dwa spektakle dziennie. W zimie jeszcze była dłuższa przerwa, bo publiczność zostawiała płaszcze w szatni, ale latem czasami po 10 minutach było następne przedstawienie. Nikt nie narzekał, ale byliśmy młodzi... Choć teraz młodzi aktorzy inaczej na to patrzą. Liczą się pieniądze. A za moich czasów dopiero po szesnastym przedstawieniu było „nadgranie” (kwota za „nadliczbowe” spektakle – red.). Kiedy się grało z kolegą, to człowiek potrafił „zmiennikowi” nawet źle życzyć, żeby występować samemu (śmiech).

Ale powiem też coś niepopularnego: miniony ustrój, PRL, przy wszystkich swoich wadach, to był jednak dobry czas dla teatru. Polska wtedy wzorowała się na Rosji, a tam teatr stał „na świeczniku”. Pieniądze nie były żadnym problemem. Kiedy dyr. Chmielarczyk widział, że mu się kończą, dzwonił do pierwszego sekretarza, a on tylko pytał: „No to ile wam potrzeba, Chmielarczyk? Idźcie do wojewody, skarbnik wam wypłaci”. Oni mieli w tym cel, oczywiście, ale dla teatru to była wspaniała sprawa. Danuta Baduszkowa nieudanej premiery w ogóle nie pokazywała. A to przecież były pieniądze! Ale ona na pieniądze się nie oglądała i pokazywała tylko udane spektakle. Teraz dyrektor Kutarski musi bić głową w mur i szukać sponsora, a jeśli nie znajdzie, to nie ma za co grać.

rozmawiała Joanna Gierak

zdjęcia: archiwum, Dawid Jacewicz



Jubileusz „Skrzypka na dachu”, 29.03.2014

– Dzięki niemu zostaliśmy „utrwaleni dla potomności”. To człowiek bez reszty oddany teatrowi, który zawsze o wszystkich pamięta – mówi Krystyna Josicz o Henryku Ryszardzie Zarewiczu-Żuchowskim, aktorze i reżyserze oraz autorze m.in. kilkunastu publikacji dotyczących dziejów Operetki lubelskiej i Teatru Muzycznego w Lublinie. „Pieśniarz lubelskich scen” nie mógł wziąć udziału w benefisie Mariana Josicza, przesłał jednak Jubilatowi oryginalne życzenia, które niniejszym prezentujemy.

*Jak leciwy Plac Łokietka
Prezentuje swoje lata,
Tak się chwali operetka,
Że ma również JUBILATA.*

*Znaleźć łatwo historyka,
Co jest biegły w swoim fachu,
Że nim Lublin zbudowano
Marian grał w „Skrzypku na dachu”.*

*Marian też rozślawił gród
Jedyny na mapie świata,
Bo znalazł w nim „szczęścia lut”,
Stąd u niego SUPERATA.*

*Prawie sto-lat Marian J.
Wśród seniorów wodzi rej.
Jeszcze trochę, chwila, ot!...
I przeskoczy Xenię Grey!*

*Grać przestanie? Nie ma strachu.
Jeszcze wiele lat przed Tobą.
Już premiery w nowym gmachu
Łączy się z Twoją osobą!*

*Wiele życzeń dziś nadchodzi
Dla ważnego BENEFISA,
Jedno moje – prosto z Łodzi
„ORDER, KTÓRY Z SZYI ZWISA!”*

*Żyjj nam długo i na luzie
Dalszych osiemdziesiąt lat!
Jak w arii: „Cóż mnie obchodzą ludzie
i cały świat”!*

Szanownemu Jubilatowi, kol. Marianowi Josiczowi, życzenia wieloletnich sukcesów oraz zdrowia składa
Ryszard Zarewicz

Marian Josicz

pracę artystyczną rozpoczął w Zespole Pieśni i Tańca „Warszawa” prowadzonym przez Mirę Zimińską i Tadeusza Sygietyńskiego. Po jego rozwiązaniu trafił do Opery Warszawskiej, gdzie występował obok takich artystów jak Maria Fołtyń, Bogdan Paprocki, Bernard Ładysz czy Andrzej Hiolski. W 1962 r. otrzymał od Barbary Kostrzewskiej zaproszenie do Teatru Muzycznego w Lublinie i raz na zawsze podbił serca nie tylko żerńskiej części lubelskiej publiczności. Zagrał ponad 150 ról, z których najważniejsze to: Daniłło w „Wesołej wdówie”, Adam w „Ptaszniku z Tyrolu”, Petruccio w „Poskromieniu złościny”, Gaspard w „Dzwonach z Corneville”, Bryndas w „Krakowiakach i góralach”, Horodniczy w „Rewizorze, Tewie w „Skrzypku na dachu”. Gościnnie występował w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, Operetce Dolnośląskiej we Wrocławiu, Teatrze Muzycznym w Gdyni i w Łodzi oraz Teatrze Lalki i Aktora w Lublinie.

Otrzymał czterokrotnie Wojewódzką Nagrodę Teatralną za wybitne osiągnięcia artystyczne, Złotą odznakę Zasłużony dla Miasta lublina, Honorową Odznakę Zasłużony dla Kultury Polskiej, Medal Zasłużony Kulturze „Gloria Artis”, Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Kawalerski i Oficerski Orderu odrodzenia Polski.

Krystyna Jarmułówna-Josicz

żona i partnerka sceniczna Mariana Josicza, aktorka Teatru Muzycznego w Łodzi, a od lat 70. Teatru Muzycznego w Lublinie. Ryszard Zarewicz pisał o niej: „Bardzo dobrze zawsze mi się pracowało z Krystyną Jarmułówną – była to aktorka, która miała niezwykłą prawdę sceniczną. Podczas gdy inni musieli nad nią długo pracować, ona uzyskiwała to już na pierwszej próbie”.

UNIA EUROPEJSKA
EUROPEJSKI
FUNDUSZ SPOŁECZNY



KAPITAŁ LUDZKI
NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI

Projekt „Horyzonty” jest współfinansowany przez Unię Europejską
w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego

Serdecznie zapraszamy do współpracy pracodawców zainteresowanych zatrudnieniem wykwalifikowanej i doświadczonej kadry na stanowisku „Organizator usług gastronomicznych”

W związku z realizacją projektu „Horyzonty” przeszkoliliśmy 60 osób z zakresu pracy na stanowisku „Organizator usług gastronomicznych” oraz zapewniłmy uczestnikom 3-miesięczny staż w ramach zawodu. Gwarantujemy Państwu kadrę posiadającą szeroką wiedzę praktyczną oraz teoretyczną z zakresu obsługi usług gastronomicznych. Zapewniamy wysokie zaangażowanie w wykonywaniu powierzonych obowiązków oraz wysoką kulturę osobistą.

Placówki zainteresowane współpracą prosimy o kontakt z Biurem Projektu **CREATOR Sp. z o.o.**
w Lublinie przy ul. Kołłątaja 3/14. tel. **081 533 17 59**
e-mail: biuro@creator-polska.eu

Więcej informacji na: <http://creator-polska.eu/projekt/horyzonty-7-4-lubelskie/>



Program Operacyjny Kapitał Ludzki, Priorytet VII. Promocja integracji społecznej, Działanie 7.4 Niepełnosprawni na rynku pracy

Nasze miejsce na mapie Lublina

Od lipca w Lublinie funkcjonuje miejsce, w którym aktywni mieszkańcy naszego miasta mogą nie tylko spotykać się przy dobrej kawie i domowym ciastku, ale także dzielić się swoimi pomysłami na nowe inicjatywy. W zabytkowym Pałacu Tarłów przy ul. Dolnej Marii Panny, gdzie mieści się Wojewódzki Ośrodek Kultury, powstała Nasza Cafe.

Kawiarenka społeczna powstała z myślą o organizacjach pozarządowych, które chcą nieformalnego miejsca spotkań służących budowaniu partnerstw, wymianie doświadczeń i nawiązywaniu efektywnego dialogu. W lokalu będzie można za darmo napić się dobrej kawy i zjeść domowe ciasto, a przede wszystkim w przyjaznej atmosferze budować nowe międzypokoleniowe relacje. O piękne wnętrze – oczywiście społecznie – zadbała lokalna firma Domo-System. Do zagospodarowania pozostał jeszcze klimatyczny ogródek.

Inicjatorzy – Rada Działalności Pożytku Publicznego Województwa Lubelskiego i jej przewodnicząca, radna Sejmiku Bożena Lisowska, pomysłodawcy i spiritus movens projektu

– liczą na to, że kawiarenka społeczna stanie się miejscem spotkań dla wszystkich chcących się zaangażować w życie lokalnej społeczności. – *Będziemy się starali poruszać różne tematy, zapraszać ludzi z różnych organizacji i środowisk* – mówi Bożena Lisowska. – *Chcemy również, żeby było to miejsce, gdzie nawiązywane są relacje międzypokoleniowe, ale też międzysektorowe, gdzie organizacje pozarządowe mogą się spotykać z biznesem i z samorządem.*

Już otwarcie lokalu pozwala domniemywać, że będzie to atrakcyjne miejsce. Działalność Naszej Cafe inaugurował kameralny koncert Tomasza Korpantego, a lubelska malarka Krystyna Główniak zaprezentowała wernisaż swoich obrazów. Była to tak-

że okazja do wręczenia okolicznościowego grawertonu, przyznanego przez marszałka Sławomira Sosnowskiego w dowód uznania dla działalności Stowarzyszenia Aktywizacji Polesia Lubelskiego „Kraina Rumianku”. Zaś już pod koniec lipca w Naszej Cafe można było wziąć udział w prowadzonych przez Krystynę Główniak warsztatach malarstwa i rysunku.

Początkowo klub będzie funkcjonował eventowo raz w tygodniu, ale pomysłodawcy chcą, aby było to miejsce otwarte, które będzie się rozwijać dzięki oddolnym inicjatywom mieszkańców i organizacji pozarządowych. Informacje na temat kolejnych wydarzeń w lokalu będzie można znaleźć na fanpage'u na Facebooku („NaszaCafe”).

red; fot. Facebook

Uczestnicy warsztatów Krystyny Główniak (3 od lewej; 2 od lewej – Bożena Lisowska)



Super alga – biopaliwo trzeciej generacji

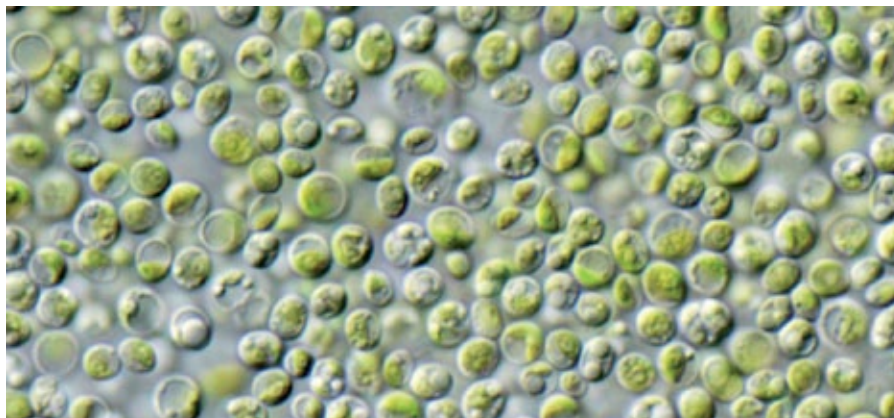
Zwiększające się zapotrzebowanie na energię, a także wyczerpywanie zasobów surowców energetycznych, zmuszają do poszukiwania alternatywnych źródeł energii, najlepiej tanich i bez negatywnego wpływu na środowisko. Nadzieja, jaką jeszcze niedawno pokładano w szeroko rozumianych źródłach energii odnawialnej, zaczyna zamierać.

Biogazownie „żyjące” na biomasie są na skraju upadku. Produkcja estrów z oleju rzepakowego pomalu zanika. UE zaczyna bowiem stopniowo zmieniać znaczenie OZE. Dotyczy to w szczególności roślin służących do produkcji żywności, np. kukurydzy czy nasion rzepaku, z którego produkowano biodiesel oraz roślin zawierających gluten czy też skrobię, z których wytwarzano bioetanol. Rośliny te były do niedawna jednymi z ważniejszych składników źródeł odnawialnych. Tymczasem Unia stawia obecnie na biopaliwa II, a najchętniej III generacji i te sposoby ich wytwarzania zamierza wspierać.

Czysta biomasa

Pierwsze pomysły na wykorzystanie biomasy na cele energetyczne stanowią tzw. biopaliwa pierwszej generacji i opierają się one na pozyskiwaniu np. oleju z nasion roślin oleistych – rzepaku, soi, słonecznika itp. Ponieważ są to rośliny konsumpcyjne, ich uprawa na cele energetyczne silnie konkuruje z ich uprawą na cele spożywcze. W konsekwencji wpływa to na ilość wyprodukowanej żywności oraz na wzrost jej cen.

Biopaliwa drugiej generacji w znacznym stopniu rozwiązują te problemy, ponieważ w tym przypadku uzyskuje się je głównie z celulozy, np. słomy, czy też z upraw roślin „energetycznych” – ślazu, miskanta, wierzby energetycznej, topinamburu itp., które nie stanowią źródła pożywienia dla człowieka czy dla zwierząt gospodarskich. Jednak usuwanie z pól



Chlorella vulgaris (wikimedia commons)

resztek roślinnych powoduje ubożenie gleby w materię organiczną, a uprawa roślin „energetycznych” jest również konkurencją o areal ziemi przeznaczonej na produkcję konsumpcyjną. Produkcja etanolu z celulozy (etanolu drugiej generacji) jest natomiast procesem skomplikowanym, mało wydajnym i w naszych warunkach nieopłacalnym ekonomicznie. Stąd produkcja etanolu tym sposobem jest niewystarczająca i nie jest w stanie nadażyć za rosnącym zapotrzebowaniem. Konsekwencje produkcji takich paliw są więc takie same jak w przypadku biopaliw pierwszej generacji.

Hodowle alg stanowią wizję trzeciej generacji biopaliw. Algi obecnie są najczęściej rozpatrywane pod kątem produkcji biomasy, którą zgodnie z rozporządzeniem Ministra Gospodarki i Pracy z dnia 9 grudnia 2004 roku są „stałe lub ciekłe substancje pochodzenia roślinnego lub zwierzęcego, ulegające biodegradacji, pochodzące z produktów, odpadów i pozostałości z produkcji rolnej oraz leśnej, a także przemysłu przetwarzającego ich produkty, a także części pozostałych odpadów, które ulegają biodegradacji” (Dz. U. Nr 267, poz. 2656). Hodowle mikroalg mają niezwykłą wydajność, nie kolidują z produkcją rolniczą ani pod względem spożycia ani pod względem zapotrzebowania na areal przeznaczony do produkcji roślinnej. Wykazują jednocześnie pozytywne działanie na środowisko przyrodnicze, ponieważ do ich produkcji można stosować ścieki komunalne, a do wzrostu wymagają CO₂, którego nadprodukcja powodu-

je efekt cieplarniany. W tym aspekcie hodowle mikroglonów korespondują z polityką proekologiczną Unii Europejskiej, która decyzją Parlamentu Europejskiego i Rady nr 2009/406/WE z dnia 23 kwietnia 2009, potwierdziła i podjęła wcześniejsze zobowiązania dotyczące redukcji emisji gazów cieplarnianych o 20% do roku 2020, w porównaniu z wartościami emisji z roku 1990, przy jednoczesnym 20-procentowym zmniejszeniu ogólnego zużycia energii. Przyjmując Dyrektywę nr 2009/28/WE, Unia Europejska daje również wyraźny sygnał, że stawia na rozwój energetyki odnawialnej, na której koncentrują się również obecne kierunki badań. Uprawa alg poza aspektami ekonomicznymi i bezpieczeństwa energetycznego, może się też przyczynić do ochrony wód i powietrza.

Należy też zwrócić uwagę, że medialny szum wokół biodiesla czy bioetanolu (jeszcze kilka lat temu tak głośny) również powoli zanika. Naszym problemem jest węgiel – mówią górnicy, politycy i media. Tymczasem gremia bardziej odpowiedzialne za naszą Matkę Ziemię (w tym papież Franciszek) zaczynają głosić, że to jest patrzanie tylko pod nogi, a nie przed siebie. W Instytucie Agrofizyki, podobnie zresztą jak w nielicznych innych jednostkach naukowych w Polsce i na świecie, zagadnienie produkcji biomasy czystej (na razie niestety niezbyt taniej), absolutnie bezpiecznej dla środowiska i wysokoenergetycznej, jest prowadzone od kilkunastu lat. Ważne jest również to, że produkcja

tej biomasy nie odbywa się na ziemi uprawnej, a hodowla wymaga dużych nakładów CO₂ oraz pożywki w postaci np. odpadów przemysłowych (wywar gorzelniany, poferment z biogazowni itp.) czy ścieków komunalnych, z zagospodarowaniem których mamy przecież poważne problemy. Przeprowadzone w Instytucie badania wskazują, że nawet tak – wydawałoby się – niebezpieczne ścieki, jakie powstają w rafineriach (zanieczyszczone związkami pochodnymi ropy) mogą być z powodzeniem wykorzystywane jako pożywka dla organizmów produkujących biomasę. Pozytywnym efektem tego działania jest biologiczne oczyszczanie i jednocześnie zagospodarowanie ścieków, które mogłyby trafić do naszych jezior i rzek, zanieczyszczając wody gruntowe.

Zielony węgiel?

Kto czy co jest w stanie wykonać dla naszej gospodarki i środowiska tak zbawienną w skutkach pracę? Mowa tu oczywiście o algach, czyli glonach. Glony to najprostsze i najbardziej rozpowszechnione organizmy samożywne na kuli ziemskiej. Do swojego rozwoju oprócz światła (niestety dużej ilości) i substancji odżywczych zawartych w wodzie, w której żyją (czasami zanieczyszczonej wspomnianymi wcześniej związkami), potrzebują bardzo dużych ilości CO₂.

A przecież Ziemia cierpi z powodu efektu cieplarnianego, a to za sprawą między innymi przemysłu i węgla. Węgiel jak wiadomo pochodzi z roślin, które miliony lat temu pobrały CO₂ z atmosfery i zmagazynowały go w postaci substancji organicznej. Podobnie sprawa ma się z ropą. Spalanie tych nośników energii nie tylko uwalnia CO₂ zasymilowane miliony lat temu, lecz również emituje wiele związków zanieczyszczających środowisko. Wykorzystanie alg do produkcji biopaliw tworzy obieg zamknięty bez „doładowania” atmosfery dwutlenkiem węgla sprzed miliona lat. Wiązanie dwutlenku węgla przez mikroglony w procesie fotosyntezy przyczynia się zatem do redukcji efektu cieplarnianego.

W świecie paliw alternatywnych mikroglony są miniaturowymi biologicznymi fabrykami, które przy pomocy fotosyntezy przekształcają dwutlenek węgla i światło słoneczne w bogatą w składniki mineralne biomasę. Dodatkowo te fotosyntetyzujące mikroorganizmy są użyteczne w bioremediacji środowisk zanieczyszczonych i odgry-

wają ważną rolę jako „bionawozy”, poprzez wiązanie azotu atmosferycznego.

Glony są tym źródłem energii odnawialnej, które jest absolutnie przyszłościowe. Istotę sprawy dobrze rozumieją urzędnicy unijni i zamierzają ten kierunek badań intensywnie wspierać (produkcja biopaliw III generacji jest absolutnym priorytetem). Hodowla glonów pod kątem produkcji wysokoenergetycznej biomasy (produkowanej bez nawozów organicznych czy środków ochrony roślin, przy produkcji których środowisko naturalne cierpi niesamowicie) stanowi intensywnie rozwijającą się dziedzinę nauki.

Glony mają wiele niezaprzeczalnych zalet. Wykazują niesamowitą zdolność do szybkiego namnażania. Niektóre gatunki podwajają swoją ilość w przeciągu 12 godzin. Ważną ich zaletą jest bardzo duże zapotrzebowanie na CO₂, a więc bardzo intensywna fotosynteza. Produkują bardzo energetyczną biomasę, której wartość wynosi ponad 21 MJ/kg (kaloryczność węgla wynosi ok 27 MJ/kg). Mogą być również źródłem cennego oleju. Niektóre gatunki zawierają ponad 70% tłuszczu (w nasionach rzepaku może go być ok 45%). „Zmuszając” je do produkcji oleju należy poddać je warunkom stresowym. Wyzwała to produkcję oleju, lecz zmniejsza intensywność podziału, a tym samym ich produktywność. Ważną zaletą jest również to, że mogą korzystać ze związków zawartych w odciekach przemysłowych (z biogazowni rolniczych, komunalnych). Są również jedynym „producentem”

bardzo cennych związków bioaktywnych, np. spiruliny.

Oprócz niekwestionowanych zalet glony mają również wady. Bardzo duże zapotrzebowanie na energię słoneczną lub inną o podobnym widmie. Najbardziej produktywnie glony wymagają ustabilizowanej temperatury wzrostu ok 26 st. C. Są bardzo wrażliwe na zakażenie innymi gatunkami glonów i na inne zakażenia (bakterie, grzyby). Osiadają na elementach fotobioreaktora, przez co zmniejszają dostęp światła. Do hodowli nadają się tylko niektóre spośród prawie 10 tys. gatunków obecnych w przyrodzie. Do przemysłowej hodowli należałoby (zdaniem autora) dokonać pewnych modyfikacji genetycznych, aby w jednym szczepie („super aldze”) połączyć najkorzystniejsze cechy kilku gatunków. Dotychczas brak takich badań.

Jak widać, zalety i wady prawie się równoważą. Z tych też powodów aktualnie produkcją alg zajmują się jedynie pasjonaci (mowa tu o pracownikach Instytutu Agrofizyki PAN), którzy w tych organizmach widzą jedno z ważnych źródeł energii odnawialnej w przyszłości.

Produkcja biomasy z alg wymaga odpowiednich ilości dwutlenku (dłutlenku) węgla, światła, wody oraz soli mineralnych, które są niezbędne do jej wzrostu. Biomasa powstaje na drodze reakcji fotosyntezy, w wyniku której z ditlenku węgla i wody powstają węglowodany. Fotosynteza jest procesem biochemicznym, w którym rośliny, glony i niektóre bakterie przekształ-

Biomasa z glonów (IA PAN)





Laboratorium algowe w IA PAN w Lublinie

cają energię promieniowania słonecznego na energię chemiczną, tj. energię zawartą w związkach organicznych.

W warunkach naturalnych algi pozyskują do fotosyntezy węgiel z ditlenku węgla pochodzącego z atmosfery, który zużywany jest w ilości ok. 183 kg na wyprodukowanie 100 kg biomasy. Atmosferyczny CO₂ nie może jednak przenikać do wody wystarczająco szybko, dlatego też w warunkach sztucznych (fotobioreaktory), w których glony rosną bardzo szybko, czynnikiem ograniczającym wzrost biomasy staje się niedosyt CO₂. W fotobioreaktorach węgiel (CO₂) musi być zatem dodawany bezpośrednio do pożywki, aby podtrzymać wzrost biomasy. W wyniku fotosyntezy powstaje tlen. Zbyt duża ilość rozpuszczonego tlenu może prowadzić do procesu fotoutleniania, którego skutkiem jest uszkodzenie komórek glonów.

Temperatura hodowli w zależności od gatunku powinna oscylować w granicach 20-30 st. C. Niższa niż 16 st. C powoduje spowolnienie wzrostu, natomiast wyższa niż 35 stopni jest śmiertelna dla wielu szczepów alg. Problemem w produkcji biomasy jest też zmienne pH hodowli, spowodowane zużywaniem CO₂ przez komórki. Optymalna wartość pH dla wzrostu biomasy zawiera się w przedziale 8,2-8,7.

Światło odgrywa ważną rolę zarówno w procesach fotosyntezy jak i fotomorfogenezy. Istotne znaczenie ma również fotoperiod, czyli stosunek długości okresów światła i ciemności w cyklu dobowym. W warunkach naturalnych zarówno natężenie światła, jak i jego skład spektralny oraz długość dnia są właściwe dla rejonu prowadzenia hodowli i zmieniają się w cyklu dobowym oraz rocznym w sposób niezależny od człowieka. W warunkach sztucznych (fotobioreaktory) wszystkie te czynniki mogą być precyzyjnie

ustalone. Kolejnym zagadnieniem związanym ze światłem, a mającym duże znaczenie przy produkcji alg, jest natężenie napromieniowania (fotoinhibicja). Zjawisko hamowania fotosyntezy poprzez fotoinhibicję, dobrze znane u roślin wyższych, zachodzi przy dużym natężeniu napromieniowania. Organizmy fotosyntetyzujące absorbują wówczas więcej światła niż może być wykorzystane w procesach fotosyntezy, co prowadzi do uszkodzenia aparatu fotosyntetycznego (fotooksydacji chlorofilu).

Systemy hodowlane.

Przy produkcji biomasy na cele energetyczne najważniejszym elementem jest wykorzystanie potencjału tkwiącego w algach. Należy opracować odpowiednie metody ich namnażania, na który największy wpływ ma efektywność procesu fotosyntezy i czynniki potencjalnie ograniczające jego sprawność. Glony rosną niezwykle szybko i potrafią podwoić swoją masę w ciągu

24 h. W sprzyjających warunkach hodowlanych czas ten można nawet skrócić do 3,5 h. Niezbędny do tego, oprócz wyboru odpowiednich gatunków alg, jest wybór odpowiednich systemów hodowlanych oraz znajomość wpływu poszczególnych czynników środowiska hodowli na wydajność produkcji w zależności od uprawianego gatunku. Istnieją dwa zasadnicze systemy hodowli glonów: otwarty i zamknięty. Wyróżnić można także trzeci – hybrydowy, będący połączeniem wyżej wymienionych. Obecnie stosuje się stawy hodowlane lub różnego rodzaju fotobioreaktory. Oba rodzaje metod różnią się wydajnością, kosztami utrzymania, a także możliwościami uprawy.

Do systemów otwartych zaliczamy stawy do hodowli alg mające kształt zamkniętej pętli recyrkulacyjnej o głębokości około 0,3 m. Ciągły ruch biomasy glonowej zapobiegający jej sedimentacji jest możliwy dzięki zainstalowaniu turbiny. Obecnie większość biomasy glonowej ze względu na niskie koszty instalacji i jej utrzymania pochodzi z systemów otwartych. Wymagają one zastosowania wewnętrznego, sztucznego oświetlenia, a to prowadzi do zwiększenia kosztów energii związanych z zastosowaniem drogich urządzeń wchodzących w ich skład. Jednakże wydajność stawów jest niższa, a hodowla ograniczona do niewielu gatunków glonów, takich jak *Dunaliella*, *Spirulina* oraz *Chlorella*.

Systemy zamknięte to głównie fotobioreaktory. Są to zbiorniki wody zapewniające stały ruch wody – mieszanie, stały o odpowiednim stężeniu

Tabela 1. Porównanie systemów otwartych, fotobioreaktorów i fermentorów do hodowli glonów (Alabi i in., 2009)

Czynnik	Systemy otwarte		Fermentory
Gęstość komórek w hodowli	Niska	Średnia	Wysoka
Czynniki ograniczające wzrost	Światło	Światło	Tlen
Powierzchnia w relacji objętości	Wysoka	Bardzo wysoka	Nie dotyczy
Kontrola parametrów	Niska	Średnia	Bardzo wysoka
Dostępność na rynku	Łatwo dostępna	Niestandardowe	Łatwo dostępna
Koszt konstrukcji na jednostkę	Średni	Wysoki	Niski
Koszt operacyjny	Średni	Wysoki	Niski
Baza technologiczna	Łatwo dostępna	Średnio dostępna	Łatwo dostępna
Ryzyko zanieczyszczenia	Wysokie	Średnie	Niskie
Straty wody	Wysokie	Wysokie	Niskie
Uzależnienie od pogody	Wysokie	Średnie	Niskie
Utrzymanie	Łatwe do utrzymania	Trudne do utrzymania	Wymaga specjalistycznego utrzymania
Podatność na przegrzanie	Niska	Wysoka	Nie dotyczy
Skłonność do nadmiernego poziomu O ₂	Niska	Wysoka	Nie dotyczy
Łatwość czyszczenia	Bardzo łatwe	Trudne	Trudne
Łatwość skalowania	Wysoka	Zmienna	Wysoka
Wykorzystanie powierzchni ziemi	Wysokie	Różne	Niskie
Zastosowanie do różnych gatunków	Wąskie	Przystosowane	Wąskie

Tabela 2. Poziom oleju w wybranych mikroalgach (Christi, 2007)

Gatunki mikroalg	Zawartość tłuszczu (% s.m.)
Botryococcus braunii	25-75
Chlorella sp.	28-32
Cryptocodinium cohnii	20
Cylindrotheca sp.	16-37
Dunaliella primolecta	23
Isochrysis sp.	25-33
Monallanthus salina	>20
Nannochloris sp.	20-35
Nannochloropsis sp.	31-68
Neochloris oleoabundans	35-54
Nitzschia sp.	45-47
Phaeodactylum tricornutum	20-30
Schizochytrium sp.	50-77
Tetraselmis sueica	15-23

dopływ CO₂, zachowanie właściwej temperatury ok. 26 st. C, oświetlenie, usuwanie nadmiaru tlenu, zapewnienie dostępu do soli mineralnych niezbędnych do odżywiania alg, odpowiedniego pH. Hodowla alg w fotobioreaktorach jest zdecydowanie bardziej wydajna (i zdecydowanie droższa) niż w systemach otwartych. Dzięki możliwości stworzenia optymalnych warunków można zmaksymalizować produkcję biomasy, jednak w tym celu należy dokładnie oszacować poziom natężenia oświetlenia, dostawę niezbędnych ilości ditlenku węgla, usuwanie powstającego tlenu, który może spowodować zahamowanie procesu fotosyntezy i fotoutlenianie biomasy. Optymalne dla glonów stężenie CO₂ w powietrzu wynosi powyżej 1%. W warunkach fotobioreaktorów niezbędne będzie więc dostarczenie ditlenku węgla do hodowli. W ostatnich latach zamknięte fotobioreaktory wywołały znaczące zainteresowanie ze względu na możliwość zapewnienia stabilnych warunków hodowlanych dla biomasy glonowej w porównaniu z systemami otwartymi. Przede wszystkim w układach zamkniętych można uniknąć prawie całkowicie parowania, uzyskać większą produktywność i zagęszczenie biomasy (do 20 g · l⁻¹), a także łatwo zapobiec zanieczyszczeniu hodowli innymi gatunkami alg czy florą bakteryjną, która stanowi konkurencję zarówno dla pożywienia zgromadzonego w wodzie, jak i dla światła. Wybór konkretnego systemu zależy od wielu czynników, wśród których są: klimat, biologia alg, koszty ziemi, pracy i energii, nakłady związane z dostarczeniem wody i substancji odżywczych, możliwości kontrolowania

temperatury, pH, efektywność wykorzystania energii słonecznej, czy możliwość przeniesienia hodowli prowadzonej w warunkach laboratoryjnych na skalę przemysłową.

Hodowla glonów może być oświetlona zarówno światłem słonecznym, jak i sztucznym, można też wykorzystać oba rodzaje światła jednocześnie. Do systemów dających możliwość naturalnego oświetlenia dużej powierzchni hodowli można zaliczyć otwarte stawy hodowlane, fotobioreaktory panelowe, kolumnowe poziome, a także kolumnowe pochylone. W skali laboratoryjnej stosuje się zwykle oświetlenie sztuczne. Warunki panujące w niektórych typach fotobioreaktorów można łatwo kontrolować, m.in. poprzez umieszczenie ich w pomieszczeniu o stałej temperaturze, szczególnie w przypadku fotobioreaktorów o małych rozmiarach. Dla dużych systemów zewnętrznych, takich jak fotobioreaktory kolumnowe, kontrola warunków wewnętrznych nie jest możliwa bez zastosowania zaawansowanych technik.

Kiedy przemysł algowy?

Jakie są możliwości produkcji biopaliw (biopaliw) algowej? Jest to pytanie na tę chwilę bardzo trudne. Hodowla alg uwzględniająca jedynie zysk z produkcji biomasy jest absolutnie nieopłacalna. Produkcją alg może zajmować się przedsiębiorstwo, które:

- produkuje nadwyżkę taniej energii (np. elektrownie wiatrowe);
- emituje duże ilości CO₂ do atmosfery i płaci z tego tytułu kary;
- produkuje duże ilości ścieków biogatych w składniki odżywcze;
- dysponuje nadmiarem energii cieplnej;
- produkuje paliwa kopalniane i musi do nich dodawać odpowiednie ilości biopaliw (zgodnie z wytycznymi UE); przy czym ma znaczenie, czy jest to biopaliwo I, II czy III generacji;

- jest rentowne;

- jest zainteresowane współpracą z nauką (współpraca typu B+R).

Znalezienie jednej firmy spełniającej wszystkie uwarunkowania jest prawie niemożliwe. Dlatego do tej pory zainteresowanie przedsiębiorstw algami jest jedynie wirtualne, a nie realne. Zdaniem autora jedynym producentem alg spełniającym najwięcej z przytoczonych uwarunkowań są biogazownie, które dysponują nadmiarem ciepła oraz produkują tanią energię elektryczną. Ponadto wytwarzają CO₂ przy oczyszczaniu biometanu. Pracują na biomasie, a „zupa algowa” stanowi wysokoenergetyczny, odpowiednio rozdrobniony i uwodniony substrat. Niestety biogazownie są z wiadomych powodów nieopłacalne.

Instytut Agrofizyki prowadzi zarówno badania podstawowe, jak i aplikacyjne (ma opatentowane własne fotobioreaktory) nad glonami, posiada dobrze wyposażone laboratoria i odpowiednio przygotowaną kadrę. Jest również gotowy podjąć odpowiednią współpracę nad produkcją „super alg” zadowalającą wymogi przemysłu.

Mimo, że dziś produkcja biopaliw z alg jest nieopłacalna, jest to jedna z niewielu realnych możliwości zaspokojenia światowych potrzeb energetycznych w przyszłości. Żadnymi innymi sposobami nie jesteśmy w stanie tak wydajnie produkować biomasy równocześnie pozytywnie oddziałując na środowisko. Przewiduje się, że już w przeciągu 10 lat przemysł algowy rozwinie się i skomercjalizuje, dając światu możliwość korzystania z naturalnej, czystej, prawdziwie zielonej energii.

Prof. dr hab. Jerzy Tys

Instytut Agrofizyki PAN w Lublinie

Dr Tadeusz Zakrzewski

Bioenergetics Consulting

Źródło: zdjęcie pochodzi od redakcji

Biomasa alg zgromadzona w fotobioreaktorze 300 l (IA PAN)



Szczęśliwa trzynastka

Od czternastego wieku co niektórzy obawiali się liczby 13. Obawa przed złowieszczym, a przynajmniej feralnym jej następstwem komplikowała porządek liczb w wielu dziedzinach. Opowiem jednak o szczęśliwej trzynastce, której faktycznie miało nie być.

Acała historia zaczyna się w Lublinie. Koniec pierwszej wojny światowej otworzył nowe perspektywy działającej od 1899 roku spółki „Zakłady mechaniczne E. Plage i T. Laśkiewicz w Lublinie”. Stało się to w głównej mierze za sprawą jednego z zatrudnionych wówczas inżynierów. Za jego namową postanowiono, że fabryka zajmie się, poza dotychczasową działalnością, także produkcją samolotów. Wystąpiono zatem do inspektora wojsk lotniczych z prośbą o zezwolenie na założenie działu lotniczego.

Trudne początki

Już w lutym 1920 roku otrzymano decyzję, w której decydenci zaakceptowali projekt i od razu zamówili trzysta sztuk samolotów Ansaldo A-1 „Balila” oraz Ansaldo A-300 na licencji włoskiej. W 1921 roku właściciele spółki zdecydowali się na zakup nowych terenów i zwiększenie powierzchni fabryki do 14 ha, (w 1911 roku zakład rozciągał się na przestrzeni dwóch mórg ziemi, czyli ok. jednego hektara). Pierwszy samolot wyprodukowany w Lublinie wzbił się w powietrze 19 czerwca 1921 roku, konstrukcja okazała się jednak nieudana – odnotowano kilka wypadków, po których lubelskie samoloty nie cieszyły się chlubną sławą i zyskały miano „latających trumien”. Trzy lata później, pojawiła się kolejna umowa na dostarczenie 150 sztuk samolotów „Potez 15” i „Potez 25”, tym razem na licencji francuskiej. Maszyny tym razem okazały się znacznie mniej awaryjne i bezpieczniejsze, ale zbyt



Jarosław Wróbel, R-XIII G nr 714

krótka produkcja spowodowała deficyt finansowy, a to zmusiło Plage’go i Laśkiewicza do szukania nowego sposobu zarobku, wybór padł na produkcję karoserii samochodowych. Szczęśliwie dla zakładów, w roku 1927 stanowisko głównego konstruktora w fabryce objął absolwent wyższej szkoły lotniczej w Paryżu, inż. Jerzy Stanisław Rudlicki. Samoloty znów wysunęły się na pierwszy produkcyjny plan, bo od razu zaczęto produkcję serii samolotów Lublin R (od nazwiska konstruktora). Już w połowie roku powstał prototyp samolotu Lublin R-VIII, który rok później został zakupiony przez armię. Zaraz potem kolejny prototyp, Lublin R-X. Znów bardzo udany. Na nim odbyto lot z Poznania do Barcelony, w 1932 roku pilot T. Karpiński obleciał dookoła Europę, pokonując 6450 kilometrów, odbył na niej również w 1933

roku rajd dookoła Afryki i Azji. Oprócz tego, w latach 1929–1930 zakłady wyprodukowały na licencji Fokkera jedenaście samolotów pasażerskich Fokker F-VIIB/3m.

We wspomnianym 1933 roku obowiązki dyrektora objął narzucony przez departament lotnictwa płk J. Zajączkowski. Paradoksalnie pod jego zarządem wyprodukowano kolejny prototyp Lublin R-XXIII. „Dwudziestka trójka” w 1935 roku wykonała przelot na trasie Warszawa–Stambuł–Bagdad–Karaczi–Kalkuta–Bangkok–Prezrubab, niestety podczas lądowania uszkodzono samolot. Awarię tę, plus inne usterki, wykorzystano jako pretekst dla realizacji starań szefa Departamentu Aeronautyki Ministerstwa Spraw Wojskowych, gen. Ludomiła Rayskiego, który dążył do skupienia całości polskiego przemysłu lotniczego w rękach państwowych. Zamówienie na samoloty z Lublina cofnięto z końcem roku 1935, w tym 50 egzemplarzy R-XIII F – doprowadzając „Zakłady mechaniczne A. Plage i T. Laśkiewicz” do upadłości. Pewna część samolotów R-XIII była już wtedy na ukończeniu, więc wyceniono je po cenie złomu. Rok później zakłady upaństwowiono, a wznowienie zamówienia na wspomniany model R-XIII F pozwoliło na dalszą produkcję maszyny bez długów i strat. To kontrolowane bankructwo dało początek Lubelskiej Wytwórni Samolotów.

Replika samolotu Lublin R-XIII G No 714, jeszcze bez skrzydeł



Nalot na defiladę

Ale cofnijmy się odrobinę. W czerwcu i lipcu 1931 roku podjęto próby nad nową konstrukcją samolotu. „Lublin - R”, oblatany przez W. Szulczewskiego, przeszedł do kolejnych testów. W trakcie jednej z akrobacji nastąpiło ścięcie sworznia mocującego drążek sterowy. Pilot pozbawiony możliwości sterowania wyskoczył ze spadochronem, a samolot samodzielnie wykonał lądowanie i zatrzymał się w rowie. Uznano wtedy, że pechowymi są liczby XIV i XV i tak urodził się R-XIII.

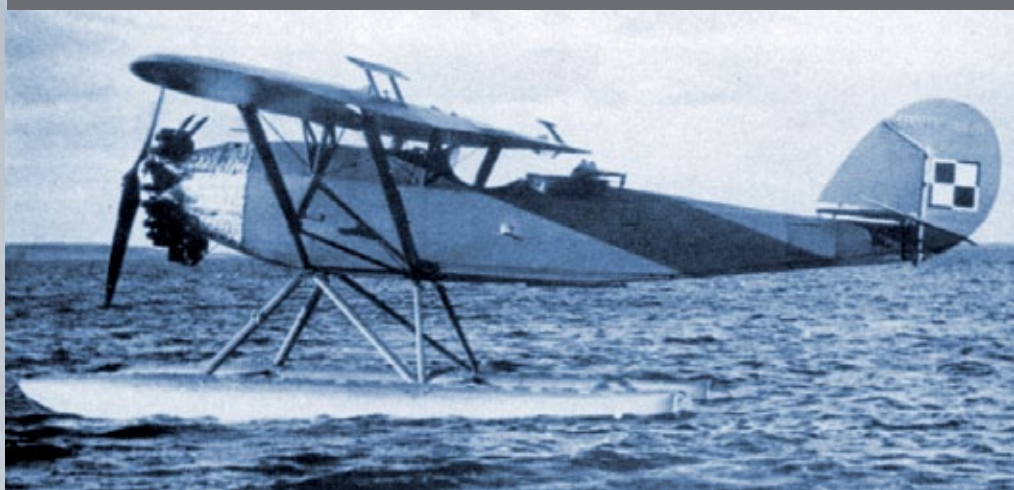
Od 1933 do wybuchu II Wojny Światowej to samolot R był podstawowym samolotem w eskadrach towarzyszących. W sumie w Lublinie (także i po 1936 roku, kiedy fabryka znajdowała się już w rękach państwowych) wyprodukowano 288 sztuk samolotów R-XIII i R-XIV, w tym 15 sztuk R-XIV, 20 sztuk R-XIII bis/hydro oraz 253 sztuki R-XIII lądowych (z tego 244 z silnikami 220 KM). Były to głównie samoloty na potrzeby wojskowe, tylko kilka zadysponowano dla lotnictwa cywilnego. My zatrzymajmy się przy konstrukcji „Lublin R-XIII hydro”. W styczniu 1932 r. Morski Dywizjon Lotniczy zamówił trzy pierwsze egzemplarze tego modelu. Dostarczono je do Pucka już pod koniec roku. Otrzymały numery 701, 702 i 703. Miały zapasowe podwozia lądowe i narty, które można było zakładać zamiast podłodzi – pływaków. Szybko okazały się maszynami niedoskonałymi, wysoko awaryjnymi. W roku 1933 zamówiono dziesięć egzemplarzy modelu R-XIII ter/hydro, z pływakami, w rok później kolejne sześć egzemplarzy.

Nadszedł okrutny wrzesień 1939 roku. Istnieją zdjęcia z tego czasu, pokazujące samoloty Morskiego Dywizjonu z Pucka dogorywające u wybrzeży Helu. Po wielkim bombardowaniu

bazy w Pucku od lądu, samoloty nie startując, na pływakach przepłynęły na kotwiczowisko na Helu, po drugiej stronie zatoki, gdzie były niszczone przez własne załogi. Wymontowano karabiny maszynowe, rozsadzono najważniejsze części, czyli silniki. Sporo elementów dewastowanych samolo-

jak gdyby pochodni. Tam skierowaliśmy wodnosamolot i gdy byliśmy nad celem, obserwator jednym ruchem zrzucił cały ładunek(...). Relacja por. Juszczakiewicza: (...) wszystkie bomby poszły w dół wśród ciżby rozradowanych hitlerowców. Następnie maszyna już na pełnych obrotach

Lublin R-XIII



tów legło w piachu w fali przyboju. Zanim jednak te wspaniałe maszyny unicestwiono, wieczorem 7 września załoga Lublina R-XIII nr 714 z Morskiego Dywizjonu Lotniczego w składzie: pilot Józef Rudzki i obserwator Zenon Juszczakiewicz wystartowała w celu wykonania nalotu na pancernik Schleswig-Holstein. Okrętu już w porcie gdańskim nie zastali, albo tylko nie zauważyli w gęstej mgłę, więc zamiast tego zrzucili 12 bomb na kolumnę niemieckich żołnierzy, defilujących obecną ul. Grunwaldzką w Gdańsku z okazji zdobycia Westerplatte. Skutki bombardowania miały być spektakularne – znaczna ilość ofiar. Porucznik Rudzki wspomina to tak: (...) *Będąc już na wysokości 400 metrów zauważyliśmy w rejonie ulicy Grunwaldzkiej w Gdańsku duże skupisko światel,*

wykonała ciasny skręt i ponownie zeszła nisko nad ulicę Wrzeszcza przechylając się na skrzydło, tak by obserwator miał możliwość otwarcia ognia z broni maszynowej. (...) Zabici i ranni zaszli momentalnie ulicę, dziesiątki i setki osób w szalonej panice dusiły się i deptały w bramach domów, szukając schronienia przed deszczem polskich kul, siekących spod kłosa nieba. (...).

Nowe życie „szczęśliwego samolotu”

A samoloty? Część z nich później Niemcy sprzątający Hel zabrali, ale grupy poszukiwawcze z wybrzeża miały świadomość, że po takim zdarzeniu jak wysadzenie samolotu tam, w piachu, sporo części znaleźć się może. I że w kolejnych warstwach nadal coś musi

Lublin R-XIII łącznikowy





Znaleziony przez kpt. Jacka Dzienisiuka pływak samolotu w odsalaczu

się znajdować. Nawet pletwonurkowie przez lata sygnalizowali, że tu widzieli pływak, tam inną część przypominającą kształtem coś mechanicznego, prawdopodobnie lotniczego. Wiosną 2015 roku jeden z nurków, notabene pilot komunikacyjny (kapitan PLL LOT Jacek Dzienisiuk), znalazł pływak, który został wydobyty i przetransportowany do Muzeum Obrony Wybrzeża na Helu. Specjalnie dla niego na terenie muzeum został wykopany dół, który wyłożono folią i w tej „wannie” pływak zalano wodą, żeby go odsolić. Przedmiotu wydobytego z wody morskiej nie można bowiem tylko wyjąć i wysuszyć, bo się po prostu rozsypie. Trzeba się pozbyć wykryształizowanej na nim przez lata soli morskiej.

Równolegle następowało odrodzenie pamięci Morskiego Dywizjonu w Pucku. Starsi ciągle pamiętali tych eleganckich pilotów, te niezwykle zdarzenia, jakie miały miejsce w związku z obecnością lotników w zatoce. Także historię samolotu o numerze bocznym 714. Pamiętano lśniące na tafli morza samoloty, lądujące na wodzie. To było ogromnie atrakcyjne wizualnie, wręcz filmowe – i bardzo piękne sekwencje właśnie z Morskim Dywizjonem Lotniczym w roli głównej możemy oglądać w filmie „Rapsodia Bałtyku” z 1935 roku. Oto zdobywamy doświadczenie do morza, gen. Haller rzuca pierścien na znak zaślubin Polski z Bałtykiem... dotąd wszystko pięknie, tylko w ślad za tym idzie problem, jak bronić wybrzeża. Lotnictwo morskie w pierwszej wojnie światowej zaczęło się mocno rozwijać, a Niemcy jeszcze w czasie I wojny urządzili w Pucku bazę do-

świadczalną dla wodno-samolotów. Potem w naturalny sposób Druga Rzeczpospolita to wszystko przejęła. Dywizjon miał piękne wodno-samoloty, amfibie, przeróżne cudeńka, ale prawdziwą dojrzałą konstrukcją okazał się dopiero Lublin R -XIII. Dwumiejscowy zestrzałowó górnołat (parasol) o konstrukcji mieszanej. Kadłub kratownicowy spawany z rur stalowych kryty płótnem. Góra i przód kadłuba kryte blachą duralową. Kabiny odkryte. Stateczniki usztywnione drutami. Podłogzie z rur stalowych i dwa pływaki metalowe Short z hydrolanum, z redanem i sterem wodnym. W wersji R-XIII bis również drewniane, płaskodenne Pińsk. Zamiennie było stosowane podwozie kołowe. Uzbrojenie: dwa ruchome karabiny maszynowe Vickers K lub Levis obserwatora kal. 7,92 mm. Samolot, który produkowany w dużej serii miał zapewnić ciągłość szkolenia i służby w morskim dywizjonie. Przez wiele lat PRL-u ta pamięć była „wycinana”, nie istniała oficjalnie, ale ludzie pamiętali, z tej pamięci przekazano impuls pokoleniu, które teraz przyszło. Kilku zacnych ludzi powołało do życia Stowarzyszenie Historyczne Morskiego Dywizjonu Lotniczego w Pucku, uruchomiono Muzeum Obrony Wybrzeża i zdecydowano, że trzeba ludziom pokazać prawdziwy samolot. Zaczęło się zbieranie pieniędzy, nawet zaciągnięto kredyt, żeby replikę samolotu wybudować. Kadłub samolotu jeszcze nie jest na pływakach, jeszcze brakuje skrzydeł, ale wszystko jest już prawie gotowe, żeby wkrótce wszyscy mogli zobaczyć tę maszynę w miejscu, gdzie historycznie kiedyś

się znajdowała. Imponujący jest ogon z dumnie wymalowanym „LUBLIN R XIII G No 714”. Ten właśnie rekonstruowany egzemplarz, znany z wrześnie akcji bombardowania Niemców w Gdańsku, nazywany był „szczęśliwym samolotem”. Samolot latać nie będzie, choć technologicznie spełnia wszystkie warunki. Był jednak budowany bez nadzoru Inspektoratu Kontroli Cywilnych Statków Powietrznych, który jest konieczny, żeby maszyna mogła wzbić się w powietrze. Będzie za to mogła pływać – silnik jest już zamontowany. Konstruktorzy i ci wszyscy, którzy niecierpliwie czekają na efekty ich pracy twierdzą, że już to jest wspaniałą sprawą. Inaczej buduje się samolot z przeznaczeniem lotniczym, a inaczej taki, który służyć ma wspomnieniom.

Pierwsza odsłona miała miejsce 17-19 lipca, podczas Festiwalu Historycznego w Pucku, dokąd wyruszyła z Lublina ekipa programu „Było, nie minęło”, a z nią Klub Seniorów Lotnictwa Aeroklubu Lubelskiego i Zdzisław Niedbała jako reprezentant prezydenta Lublina. Ogromny wysiłek wspólnego środowiska i wielkie emocje, szczególnie u tych starszych, którzy mogli swoje wspomnienia z dzieciństwa skonfrontować z dzisiejszą rzeczywistością. I tylko szkoda że lubelski przemysł lotniczy „odradza się” tam daleko w Pucku, a na Lubelszczyźnie o tradycjach lotniczych ciągle mówimy tak mało...

Tatiana Aleksandrowicz

Adam Sikorski i Zdzisław Niedbała przy replce samolotu Lublin R-XIII; fot. z archiwum Z. Niedbały



Dzieci nazisty z Sernik przepraszają za winy ojca

Po 70 latach dzieci Heinza Spelmanna, administratora majątku sernickiego z czasu II Wojny Światowej odwiedziły Serniki jego dzieci – Horst i Helga. Bynajmniej nie nostalgia ich tu przywiodła – przyjechali, żeby przeprosić za winy ojca.

Gmina Serniki ma niezwykle bogatą historię. Pierwsze wzmianki pisane o Sernikach pochodzą z 1317 roku. Częścią tej historii są wydarzenia z okresu II Wojny Światowej, dość szeroko opisane w monografii historycznej wydanej przez samorząd gminy w 2014 roku. Obszerne fragmenty traktują również o Heinzie Spelmannie, którego potomkowie 70 lat po wojnie nawiedzili Serniki.

W czasie wojny zarządcą folwarków z obszaru gminy Serniki (poza Brzostówką i Wólką Zawieprzycą) oraz folwarku Dworu Pałeckiego był Niemiec Heinz Spelmann, który z żoną Margaret kwaterował w sernickim dworze. Folwarki administrowane przez Spelmanna pokrywały się obszarowo z majątkiem ziemskim Olgierda Grabowskiego, ostatniego właściciela tych ziem.

Spelmann był przekonany, że po wygranej wojnie to on będzie panem tych ziem i ludzi tu mieszkających. Trzeba przyznać, że zarządzał podległymi mu folwarkami efektywnie, przy czym w iście pruski sposób. Dwór w Sernikach był zadbane i pełnił funkcję reprezentacyjną. Często odbywały się tu mniej lub bardziej huczne biesiady oficerów i żandarmów niemieckich, którzy zjeżdżali do Sernik z Lubartowa i Lublina. Kwaterowali tu również ranni żołnierze Wehrmachtu z frontu wschodniego, którzy przechodzili w Sernikach rehabilitację.

Mieszkanka Sernik Janina Śliczniak (po mężu Serwin) pracowała u Spelmannów w charakterze pomocy domowej. Do jej obowiązków należało między innymi sprzątanie całego domu (dworu) i usługiwanie do stołu. Kucharką była panienska o imieniu Jadwiga, wygnanka wy-



Helga Spelmann i Janina Śliczniak (w środku)

siedlona z Poznania, dobrze znająca język niemiecki. W 1942 roku urodził się Spelmannom syn Horst, a w 1943 roku córka Helga. Oboje przyszli na świat w szpitalu przy ul. Staszica w Lublinie. Janina Śliczniak wprowadziła niewiele pomagała w opiece nad dziećmi, ale na co dzień widziała, że wychowywane były z niemieckim drylem. Nie wolno było ich utulić, kiedy płakały ani nosić na rękach. Były za to dobrze odżywiane i „hartowane” na dworze.

Śmierć za rąbanek

Spelmann nie zapisał się dobrze w pamięci mieszkańców gminy. Zarządzał majątkiem twardą ręką. Cechował go porywczy charakter. Stosował twardy rygor wobec służby, a czasami okrucieństwo wobec innych „poddanych”. Kiedy przejeżdżał bryczką przez wieś, każdy na jego widok miał obowiązek nisko się uklonić, mężczyźni przy tym zdejmując czapkę z głowy. Wszel-

ka niesubordynacja, przewinienia karane były brutalnie. Spelmann nahał zawsze miał przy sobie i wykorzystywał do „dyscyplinowania” tutejszych mieszkańców. Rzadko jeździł sam, zwykle towarzyszyło mu dwóch żandarmów i dwa myśliwskie psy – wyżyły. Dzieci na widok bryczki, którą się przemieszczał, uciekały przerażone jak przed złym duchem.

Józef Serwin, wówczas narzeczony a później mąż Janiny Śliczniak, odwiedził swoją narzeczoną w sernickim dworze i bez pozwolenia napił się wody ze studni. Nieomal przypłacił to życiem. Spelmann tak okrutnie pobił go drewnianą pałką, że ten ledwie przeżył. Innym razem Spelmann, wracając bryczką z dwoma żandarmami z pałeckiego dworu, napotkał dwóch mężczyzn idących od Woli Sernickiej w kierunku Pałeczniczy. Zmierzali do stacji PKP w Tarle, niosąc ze sobą walizki z tytoniem i rąbanek. Jednym z tych mężczyzn był warszawiak o nieznanym nazwisku, który zajmował się szmugłem. Drugi to Józef Baran,

mieszkaniec Woli Sernickiej. Na widok bryczki Spelmanna obaj rzucili się do ucieczki. Warszawiak pobiegł w kierunku pałeczkich bagien i ukrył się tam w zaroślach, zaś Józef Baran polami uciekł na woleńskie Zagrody i skrył się w oborze Karola Tchórze, zasłaniając się snopkami słomy. Spelmann odnalazł go i, jak wynika z ustnego przekazu mieszkańców, tam zastrzelił. Faktem jest, że bezpośrednich, bezstronnych świadków tej zbrodni nie było. W tym stanie rzeczy wykluczyć nie można, że Józefa Barana zastrzelił któryś z żandarmów.

Rodzice naziści, dzieci szlachetne

Siedemdziesiąt lat po wojnie Serniki odwiedził Horst i Helga, dzieci Heinza Spelmanna. Spotkanie odbyło się w Gminnej Bibliotece Publicznej. Uczestniczyła w nim między innymi, ciągle ciesząca się dobrym zdrowiem, dziś 93-letnia Janina Serwin. Horst i Helga snuli opowieści o powojennych rodzinnych perypetiach. Wysłuchali wspomnień Janiny Serwin, która nie omieszkła przywołać historii okrutnego pobicia swojego narzeczonego przez ich ojca za „bezprawnie” wypitą wodę.

W kwietniu 1944 roku wobec zbliżającego się frontu Spelmann wywiózł swoją rodzinę do Karpna koło Łądką Zdroju, zaś sam stawiał się na wezwanie i został wcielony do Wehrmachtu. Według Horsta ojciec zmarł na skutek odniesionych ran w czasie walk o Głogów. Horst z siostrą i matką w 1946 roku zostali ewakuowani za Odrę do Oldenburga, następnie, w 1956 roku, do Bremy, gdzie osiedli na stałe. Tam dzieci dorastały i się kształciły. Margaret Spelmann była nazistką – posiadała złotą odznakę NSDAP, co oznacza, że bardzo wcześnie wstąpiła do partii. Jednakże dzieci wychowała na ludzi dobrych, szlachetnych. Troszczyła się o ich wykształcenie, choć nie było im łatwo jako przesiedleńcom. Horst zrobił karierę naukową, posiada tytuł profesora. Helga jest emerytowanym doktorem nauk medycznych, autorką cieszącego się uznaniem w Europie Zachodniej podręcznika o chorobach pediatrycznych.

Niewdzięczność dla żydowskiego lekarza

Bardzo interesowała ich historia Sernik, nie tylko dlatego, że tu rozpoczęło się ich życie i tu

spędzili swoje dzieciństwo. Szczególnie interesował ich los Janiny Serwin i innych osób, które służyły ojcu. Najbardziej jednak chcieli usłyszeć, jaki był Heinz Spelmann w czasie administrowania Sernikami. Długo wierzyli, że był dobrym

słów przeprosin do tych wszystkich, którzy doznali krzywdy ze strony ich ojca. Trzeba przyznać, że niezwykle w swej istocie to wizyta, niezwykle przeprosiny. Tu już nikt nie oczekuje przeprosin za wojnę, za bolesne często przeżycia



Horst Spelmann w Sernikach

człowiekiem. Ich wuj Kurt Hoppe odwiedził Spelmannów w Sernikach w 1943 roku. Po wojnie opowiadał, że ich ojciec pomagał Żydom. Nie była to prawda. Horst jako małe dziecko zachorował na czerwonkę, był w bardzo poważnym stanie. Wyleczył go lubelski Żyd, lekarz pediatra o nazwisku Peiser, który prosił matkę Horsta aby pomogła mu ukryć się przed prześladowaniami i niechybną śmiercią. Ta jednak oświadczyła, że nie widzi takiej możliwości. Niewiele później Peiser został zamordowany. Według Helgi jej matka z tego powodu przez lata całe miała wyrzuty sumienia. Dręczyła ją świadomość, że oto Żyd uratował jej syna, a ona nie podjęła próby, aby odwdziżyć się temu człowiekowi.

Horst i Helga są już ludźmi leciwymi, mają za sobą wiele osobistych, rodzinnych trudnych przeżyć, a mimo to, mimo upływu siedmiu dziesięcioleci od wojny, pragnęli przyjechać do Sernik wędzeni potrzebą skierowania

z tamtego okresu. Niewiele osób z pamiętających tamte czasy żyje, a ci, co żyją, nabrali dystansu. A jednak tych dwoje mądrych, wykształconych, wrażliwych ludzi miało takie pragnienie. Mimo dośrodkowego już wieku i trudów podróży przyjechali, żeby przeprosić za winy ojca.

Siedemdziesiąt lat od wojny – czy to dobry czas na przeprosiny i wybaczenie? No cóż, każdy jest dobry. Ale żeby dzieci przeproszały za winy ojców – słuszne to azali?

Wójt Gminy w imieniu Helgi i Horsta za pośrednictwem lokalnych mediów przekazał przeprosiny tym wszystkim mieszkańcom Gminy Serniki i ówczesnego Dworu Pałecznego, którzy doznali jakiegokolwiek krzywdy ze strony Heinza Spelmanna. Od ubiegłorocznej wizyty Horst Spelmann utrzymuje kontakt zarówno z dyrektorką Gminnej Biblioteki Publicznej w Sernikach, jak też z wójtem.

Stanisław Marzęda

Letni Salon od kulis

Sezon urlopowy ma to do siebie, że każdą wolną chwilę najchętniej spędzamy wśród zieleni, na przysłowiowym łonie natury. W miastach w podwójnej cenie są wówczas wszelkie rekreacyjne zacisza. Najlepiej usytuowane maksimum kilka kilometrów od domu, by nie tracić czasu na długie, a i kosztowne dojazdy. Gdzie takich szukać? Naturalnie w ogrodach działkowych, które od pewnego czasu nie pełnią już roli li tylko warzywniaków, a dzięki pasjonatom wszystkiego, co „zielone”, a raczej urzekające bogactwem barw, przybierają charakter oaz autentycznego relaksu.

Tym reportażem inicjujemy prezentację urodziwych „letnich salonów”, zaaranżowanych przez hobbystów z wielkim pietyzmem, a i znawstwem przedmiotu – czyli roślin czyniących bajecznym nasze najbliższe otoczenie. Korzystamy z zaproszenia Pana Kazimierza, który działkowe poletko, najpierw liczące 300 mkw., a aktualnie około 600 mkw., uczynił prawdziwym rajem. Tutaj obok siebie zachwycają urodą rośliny najbardziej w Polsce rozpowszechnione z bardziej unikatowymi, bywa egzotycznego pochodzenia. W części przeniesionymi z krajów wakacyjnie odwiedzanych.

Działka, którą prezentujemy, ma około 30 lat i w tym czasie przecho-

dziła kilka metamorfoz. Kiedy bowiem uprawiały ją mama i ciocia Pana Kazimierza, ściśle musiały się trzymać dyrektyw (planu) Zarządu Ogrodu Działkowego. W konkretnych miejscach sadziły warzywa, krzewy i drzewa owocowe oraz kwiaty. Dziś wspomnieniem tego czasu są stare drzewa owocowe rzadko obecnie spotykanych odmian. Pan Kazimierz trzyma je z sentymentu, a antonówkami w szarlotce upieczonej przez żonę cieszy podniebienie nie tylko swoje, ale i znajomych.

Akt tworzenia jest wciąż nieskończony. – *Jeśli ktoś kocha świat flory (fauny też), wciąż ma nowe pomysły na pomnażanie* – mówi Pan Kazimierz. – *Z narzuconego przez Zarząd*



Ogrodu Działkowego planu nasadzeń wylamałem się, najpierw sadząc iglaki. Mały i duży las. Gdy te rosły w oczach, powstał skalniak. Zdobią go nie tylko unikatowe rośliny, ale i kamienie zwożone z różnych zakątków świata, korzenie, ciekawe w formie kawałki drewna. Naturalne rzeźby, które ukształtowała woda, wiatr...

Obok oczarowuje bogata flora oczka wodnego otoczonego gigantycznymi hostami z licznymi białymi i lila kwiatostanami. Kwitną też białe i różowe





nenufary. „Przyglądają się” im z góry tamaryszkowe lila gałazki. Tylko pa-trzeć, jak pojawia się brązowe „palki”. Wcześniej żółtą barwą przyciągały kaczeńce i lilie wodne. – *To lato daje „kopa” roślinom – mówi Pan Kazimierz. – Zakwitają i przekwitają, trudno za nimi nadążyć.*

Nam udało się jeszcze obejrzeć gir-landy czerwonych róż nad wejściową pergolą. Wielkokwiatowe okazy we frontowej części działki – rosarium. Ślady po granatowych ostróżkach



olbrzymach. Wysyp (po kilkadziesiąt kwiatów) hortensji wyrosłych w tym sezonie na wysokość przeciętnej oso-by. Tworzą jakby hortensjowy las.

Gdy zaś spojrzeć do góry, podziw budzą obficie kwitnące pomarańczo-we miliny. Urodą zachwycają kwitnące biało juki, przypominające świeczniki. Nie bardzo wiadomo, które okazy ro-slin są teraz najpiękniejsze. A na tym nie koniec.

Najlepiej z pierwszej dozy wrażeń ochłonać w centralnie usytuowanej altanie. Zwykle jest przy czym, bo gospodarze działki są gościnni! Stąd roztacza się najlepszy widok na całość nasadzeń. Na świerki, każdy na wyso-kość 4 pięter. Na urokliwy kominek-grill ozdobiony białymi surfiniami. Na działkowe domki sprzed lat, pełniące obecnie rolę „restauracji i kawiarni”.

Naturalny dach nad rozwieszonym ku ochłodzie hamakiem tworzą ma-gnolie, perukowce i pnąca hortensja. Tu najlepiej udaje się popołudniowa drzemka lub książkowy relaks. Po pra-wej stronie altany, zdobnej obecnie w seledynowe liście winogron, szafiro-we kwiaty clematisów i powiewające na wietrze lila-biało-różowe muśliny, im-portowaną urodą (Francja) zachwycają żółte i bordowe kalie. Białą odcinają się od nich koronkowe kwiatostany kleome ciernistej (dar państwa Romków). Da-lej oczy zachwyca amarantowy klematis i ściana różowej róży pnącej.

Rododendrony już przekwitły po-dobnie, jak pigwowce. Owoce tych ostatnich stanowią jednak zapowiedź jesiennych nalewek, którymi dział-kowcy od czasu do czasu zwykli raczyć podniebienia.

Można by tak w nieskończoność snuć tę barwną opowieść o „letnim salonie Pana Kazimierza”, ale teraz zastąpmy słowa pięknymi zdjęciami ogrodu...

tekst i zdjęcia: Grażyna Hryniewska



Z poradnika Ogrodnika: róże

Róże – symbole piękna i miłości

Jest pełnia lata. Ten czas pozwala nam wszystkimi zmysłami rozkoszować się pięknem kwiatów. Przede wszystkim róż, które człowiekowi znane są najdłużej, bo też z roślin ozdobnych są najstarsze. Bezkonkurencyjnie dekoracyjne, umożliwiają najwymyślniejsze aranżacje, każdemu ogrodowi dodadzą wigoru.

WGRIN POJNT – Centra Ogrodnicze, które mam przyjemność reprezentować, właśnie teraz olśniewają bogactwem form i kolorów. Ogromną różnorodność odmian, wielokwiatowe – tradycyjnie zwane rabatowymi, miniatury (doniczkowe), pnące, pienne, okrywowe, a nawet dzikie. Wiele osób pyta o róże herbaciane, najbardziej zapachowo zapamiętane, które są efektem „związku” róży pachnącej – Odorata z chińską – Rose Chinensis. Jednak w tym sezonie największym zainteresowaniem cieszą się róże pnące odmian That's Jazz, Ulmer Münster o pełnych kwiatach i róże parkowe z grupy Renaissance o niebywale



widzimy, co kupujemy i sadzimy rośliny, które w tym sezonie będą ozdobą każdego ogrodu. Ten szczęśliwy zbieg okoliczności zawdzięczamy plantatorom prowadzącym rośliny w donicach, gotowe do „użycia” od zaraz.

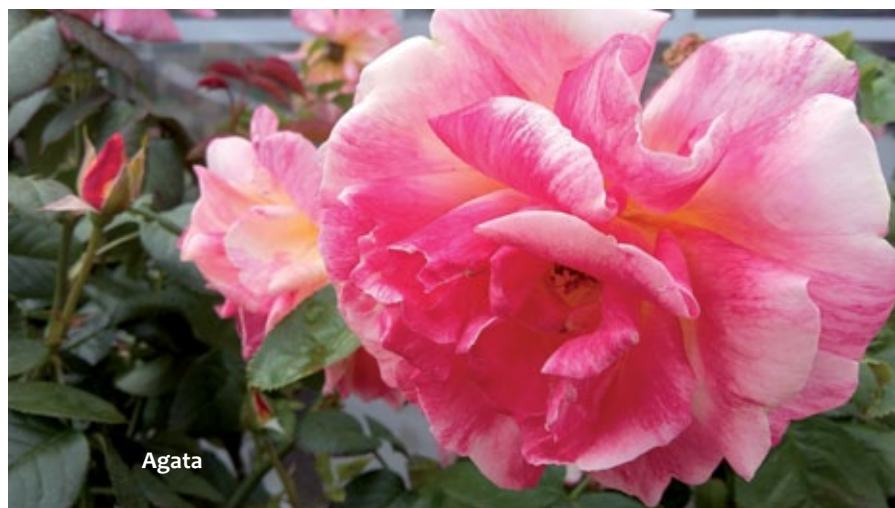
Gdzie róże najlepiej sadzić? Do jakiej gleby? To pytania obecnie najistotniejsze. Róże lubią słońce i osłonę przed wiatrem. Doceniać przepuszczalną glebę i umiarkowane nawożenie. Warto korzystać ze specjalistycznych podłoży przygotowanych specjalnie dla róż. Zapewnią Waszym różom odpowiednie warunki do życia. Dla od-



kształtowanym kwiatostanie i intensywnym zapachu. Są niezwykle!

Jakie róże polecam obecnie kupującym? Otóż to, nie polecam, a podpowiadam, szanując indywidualne upodobania. Nieco szokuję, stwierdzając, że można sadzić bezpiecznie i teraz, latem, wbrew utartemu zwyczajowi, według którego robi się to wiosną lub latem. Moim zdaniem to najlepszy okres, bo już w sklepie





mian pnących i parkowych przydadzą się podpory.

Obecnie renesans przechodzą róże okrywowe dające wiele możliwości aranżacyjnych. Można nimi oryginalnie ukwiecić ogród, taras a nawet balkon. Kwitną nieprzerwanie od czerwca do pierwszych przymrozków. I w słońcu, i półcieniu. Co istotne – są to róże niewymagające większych umiejętności pielęgnacyjnych. By je odmłodzić, wystarczy raz na kilka lat przyciąć do wysokości 20 cm. Zwykle ich krzewy i krzaczki osiągną wysokość do 1 me-

tra. Jak wskazuje nazwa, okrywają nasze ogrody setkami różnokolorowych kwiatów. Warunkiem takiego efektu jest posadzenie na metrze kw. od 2 do 4 krzewów. Podlewamy umiarkowanie. Róże nie lubią nadmiaru wody.

Róże szczęśliwie dla nas wszystkich są niezmiennie modne, a ich bogactwo odmian cieszy oko i nadaje charakteru ogrodowi. Warto róże mieć, kolekcjonować ich gatunki i cieszyć się nimi do późnej jesieni.

Polecam!

Jacek – GRIN POJNT

Uwaga: KONKURS!

„Panorama Lubelska” ogłasza konkurs na najpiękniejszy ogród, działkę, taras, balkon 2015. Na naszym portalu i w magazynie rozpoczynamy prezentację najefektowniejszych zdjęć zielonych oaz naszych Czytelników zgłaszanych do konkursu. Z nadesłanych fotografii na koniec września wybierzemy te naprawdę naj, naj, a autorów udokumentowanych nimi nasadzeń nagrodzimy oryginalnymi kwiatami, krzewami itp., których fundatorem jest Centrum Ogrodowe Grin Pojnt. Jednocześnie będziemy zamieszczać konkretne porady ogrodnicze, których autorami także są specjaliści z Grin Pojnt.

Zdjęcia (maksimum trzy) z krótkim opisem miejsca zgłaszanego do konkursu (z podaniem nazwiska właściciela, adresu i telefonu kontaktowego) prosimy nadsyłać na adres redakcji: 20-005 Lublin, ul. Górna 4/5, lub pocztą elektroniczną – e-mail: ogrody-panorama@o2.pl.

nowe centrum ogrodnicze w Lublinie! – 3000 m²

ogromny wybór roślin ozdobnych, nawozów, ziemi i narzędzi ogrodniczych
profesjonalne doradztwo i obsługa
realizacja zamówień indywidualnych do 48 godzin*
projektowanie ogrodów*

Kora sosnowa WOKAS 50 L
– tylko u nas **9,90 zł**

*O szczegóły pytaj w Centrum

centrum otwarte codziennie:

• pon. – sob. w godz. **9.00 – 19.00** • niedziela w godz. **9.00 – 17.00**
• biuro: tel. kom.: 790 54 22 11 • sklep: tel. kom.: 790 54 32 12

dojazd komunikacją miejską - linie 001, 002, 022

NESLING
THE PERFECT SHADOW

Potrzebujesz cienia nad tarasem lub balkonem, od słońca i deszczu – przyjeżdż do nas. W centrum ogrodniczym Grin Pojnt znajdziesz perfekcyjne rozwiązanie w postaci żagli przewidzianych Nesling, rolet rzymskich i pergoli. Prosty montaż i funkcjonalność za umiarkowaną cenę! Tylko w Grin Pojnt! Zapraszamy! Więcej informacji na stronie www.nesling.pl

... a po pracy



www.panoramalubelska.pl